

PRACUJEMY w ŚWIETLICY

CENA 1 zł
Nr 7 (30)
15 LIPIEC—15 SIERPIEŃ
1956 r.

WŁADYSŁAW BRONIEWSKI

22 LIPCA

Dwudziesty drugi lipca. Bug przekracza Armia Polska.
We krwi, w pożarach wojny kraj. Do broni! Wolność bliska.
Już cofa się śmiertelny wróg. W natarciu bratnie wojska.
Kto żyw, w oporze, w walce trwaj! Warszawa ogniem błyska.

Pięć lat pracował wolny lud na zgliszczach, na ruinach,
Poryte pola zorał pług, wyrosły nowe miasta
i węgiel znów — górnika trud — ku morzu mknie po szynach,
i dudni tysiąc nowych dróg, i Polska wzwyż urasta.

Warszawa dźwiga czwarty most, by puścić przezeń śmiało
wyryty w gruzach szlak W — Z nad nowym Mariensztatem!
Na Wschód! Na Zachód! W dal! Na wprost! Szybkości mało!
mało!
Niech wspólny dom powstanie wnet ku czci proletariatu!

Murarzu szybko cegły kładź — zwycięstwem każda cegła,
górniku, głębiej pokład rąb — triumfem węgla tony,
a „Sołdek", „Pstrowski" dadzą znać, że żyje Niepodległa,
w wyścigu pracy chmary rąk, w wyścigu serc miliony.

Na wielu krosnach przędzie Łódź, przybywa krosen więcej.
Z kominów Śląska bucha dym, przybywa więcej stali.
O, towarzysze, żyły spruć, do krwi urobić ręce,
by w Polskę wrósł lipcowy rym: Zwycięstwo i Socjalizm.



12 LAT

Czy widzieliście kiedyś natrętne dziecko spacerujące z ojcem po targu? Czy widzieliście, jak pokazuje palcem na wystawione na straganach towary i woła „tato kup". „tato kup".

Nie pamiętam, czy ja w dzieciństwie też byłem takim natrętem. W każdym bądź razie, jak sobie przypominam, często zwracałem się do ojca z prośbą:

„Tato kup". Początkowo prosiłem o kupno jakichś zabawek, potem zeszytów, stalówek, książek.

Kiedyś ojciec mi obiecał, że jeżeli na cenzurze nie będę miał ani jednej trójki, to kupi mi rower. Tak się jakoś złożyło, że moja cenzurka z trzeciej klasy była zupełnie „czysta" — ani jednej trójki. Zgodnie z obietnicą przypomniałem ojcu: „tato kup mi rower".

Ojciec wtedy niespodziewanie posmutniał. Znikł gdzieś uśmiech z jego twarzy. Był bardzo słowny. Nie przypominam sobie, by kiedyś nie dotrzymał przyrzeczenia. Tym razem jednak rozłożył szeroko ręce i z trudem powiedział: „Niestety mój drogi, nie dam rady. Widzisz, przysłali nam nakaz na eksmisję. Od trzech miesięcy nie płacimy komornego. Wybacz, bardzo mi przykro, ale..."

Wtem jakiś błysk mignął mu w oczach. Uśmiechnął się, chwycił mnie za brodę i powiedział:

„No nie martw się, nie martw się stary — kupię ci rower... kupię po rewolucji — to już nie długo. — No, głowa do góry!"

Nie potrzebuję opisywać stanu w jakim wówczas się znalazłem, ani tego, że rower ów śnił mi się po nocach. Przyznam Wam się jednak szczerze, że po tej rozmowie śniła mi się również rewolucja.

W swoim dziecięcym umyśle wyobrażałem ją sobie, jako wspaniałą czarodziejkę, która za machnięciem różdżki przemienia świat, zmiata nakazy eksmisyjne i... rozdaje rowery.

Nieraz potem pytałem ojca „kiedyż wreszcie ta rewolucja przyjdzie?"

Po takim pytaniu ojciec zazwyczaj uśmiechał się, kiwał głową i półgłosem dodawał. — Nie denerwuj się — przyjdzie, przyjdzie.

I wreszcie przyszła 12 lat temu. Byłem już wtedy dorosłym mężczyzną.

Dziecinne mrzonki już dawno rozwiały się. Postać rewolucji nawet w marzeniach przyoblekała się w zupełnie inny kształt.

Przyszła, cóż przypominać — każdy o tym wie, w ogniu wojny. Przyszła, goniąc okupanta. Przyszła gasząc pożary, ratując z popielisk i zgliszcz resztkę ocalałych domów Warszawy, osmalone maszyny, zatopione kopalnie.

Daleko jej było do rozdawania rowerów. Nie było ani rowerów, ani nawet ubrań. Stanęła przed nią sprawa chleba i dachu nad głową, stanęła przed nią sprawa zbudowania władzy tych, którzy w trudzie tworzą nowe dobra, którzy orzą i sieją. Stanęła sprawa oddania im we władanie i fabryk, i hut, i banków, i ziemi.

*

Minęło 12 lat od pamiętnych dni Lubelskiego Lipca. Rozmawiałem niedawno z towarzyszami dziecinnych zabaw i dziecinnych marzeń. Mówiliśmy o naszych marzeniach.

— Tak, rewolucja zwyciężyła. Władza należy do ludu pracującego miast i wsi.

— Po co powtarzać znane prawdy? Powtarzanie ich staje się banałem.

Wszyscy wiedzą, że Reforma Rolna i osadnictwo na Ziemiach Zachodnich dało bezrolnym i małorolnym chłopom przeszło 6 milionów hektarów gruntu. Wszyscy wiedzą o Nowej Hucie, Skawinie; FSO i FSC i o tym, że nasza produkcja przemysłowa wzrosła w tym okresie niemal pięciokrotnie. Dla nikogo nie jest tajemnicą likwidacja analfabetyzmu, upowszechnienie oświaty, rozwój i umasowienie życia kulturalnego. — Tak, to prawda. Jednakże, żyć jest jeszcze bardzo ciężko. Przeszło pół miliona ludzi zarabia 500 — 600 złotych miesięcznie. Do niedawna zarabiali jeszcze mniej. Z rolnictwem też jest ciężko. Wprawdzie chłopom znacznie polepszyły się warunki, ale wielu jeszcze z trudem wiąże koniec z końcem.

— Wojna przyniosła wielkie zniszczenie naszego kraju. Polska przedwrześniowa należała do jednych z najsłabiej rozwiniętych państw europejskich. Zimna wojna rozpętana przez imperialistów zmusiła nas do łożenia poważnych środków i wysiłków na uzbrojenie naszego wojska, na podniesienie obronności naszego kraju.

Wszystkie te przyczyny są istotne. Możnaby do nich dodać sporo innych. Czyż jednak można wyłącznie nimi wytłumaczyć wiele zła, które istnieje u nas? Czy nie oszukujemy się sami składając wszystkie winy na karb zniszczeń, przedwojennego zacofania i napiętej sytuacji międzynarodowej? Czy można tymi przyczynami wyjaśnić sięgające miliardów złotych marnotrawstwo w naszym przemyśle, handlu, rolnictwie, administracji? Czy można nimi uzasadnić liczne jeszcze fakty krzywdy i niesprawiedliwości dziejącej się w naszym kraju? Przy czym, ta krzywda dzieje się często nie z winy kułaków, wyzyskiwaczy. Krzywda, jaką wyrządzają kułacy jest w pełni zrozumiała. Walczymy z nią. Rzecz w tym, że tę krzywdę czynili często nasi ludzie, przez nas wysuwani, którzy obrośli w „piórka" i albo nigdy nie mieli w sercu rewolucji, albo też dawno zapomnieli o niej.

*

Pamiętam, jak towarzysz Tadek na młodzieżowej majówce, przy ognisku bodajże w 1937 r. opowiadał, jakie to będzie życie, kiedy zwycięży lud pracujący.

Zapytacie, co ma wspólnego opowiadanie towarzysza Tadka z krytyką naszych błędów?

Chodzi mi o to, czy nasze marzenia, które ukształtowały się w tamtych latach nie okazały się zwykłą fikcją? Czy nasza idea... Nie!

Nasza idea, to nie mrzonki kilku mędrców. To nauka. Socjalizm zwycięża nie dlatego, że się komuś podoba, czy nie, ale dlatego, że jest koniecznością dziejową.

Nasze marzenia były i są piękne, lecz myśmy myśleli prymitywnie. Sądziliśmy, że przepędzimy kapitalistów i obszarników i odrazu nastanie raj na ziemi. Życie pokazuje nam, że jest inaczej, że przepędzenie ich to początek nowego rozdziału walki.

Czy mówieniem o naszych błędach zlikwidujemy je i czy u ludzi na skutek tego mówienia nie zrodzi się przeświadczenie, że u nas jest więcej złego niż dobrego?

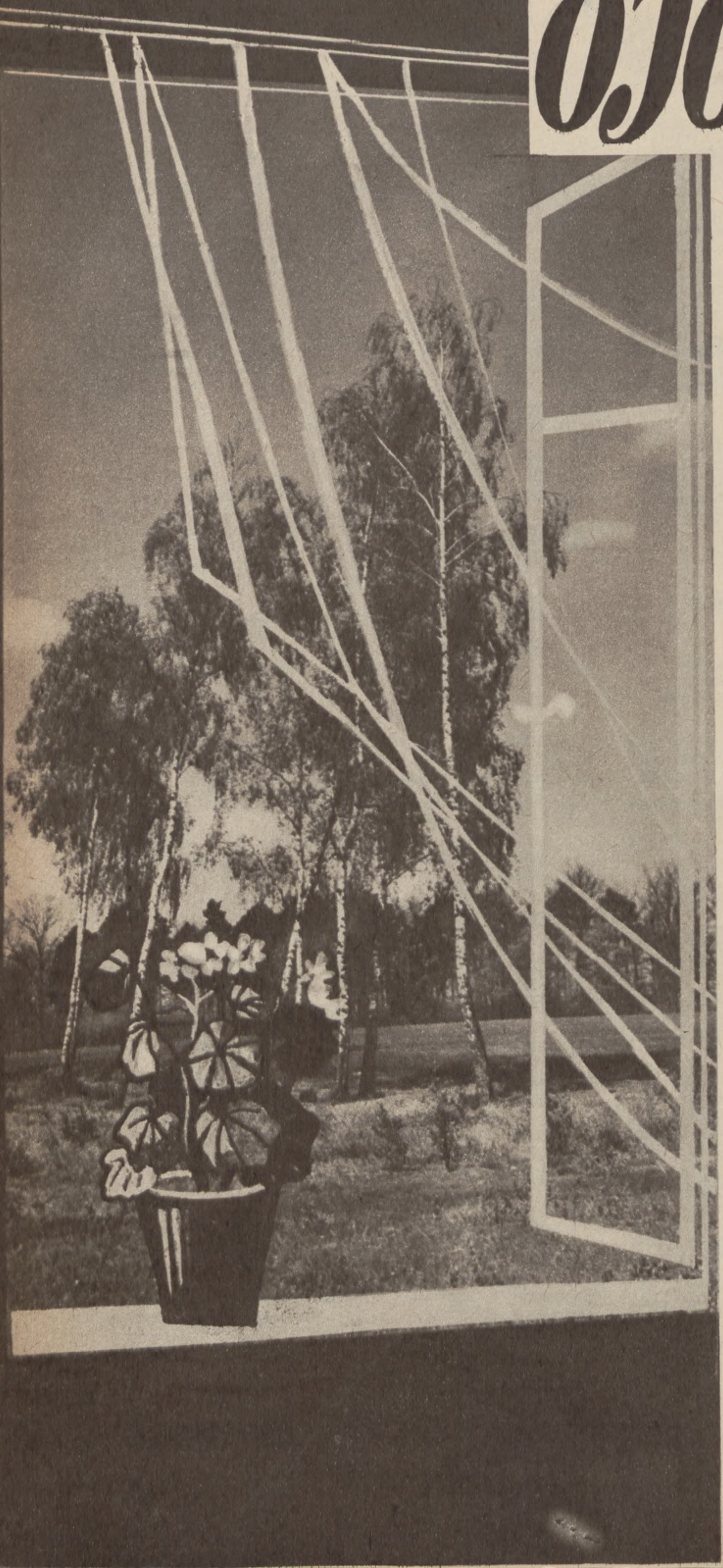
Naszych osiągnięć nikt nie neguje. Nawet wrogowie je uznają. Wypaczeń samymi słowami nie wyleczymy. Ale bez ujawniania ich, tym bardziej nie wyleczymy. Przecież my sami, nasza Partia z własnej woli zaczęła je ukazywać właśnie po to, by jak najszybciej je zlikwidować.

Krzyczymy, bo nas bolą te braki. Pokazujemy je publicznie, smagamy je w świetle dziennym dlatego, że chcemy, by każdy je widział, by każdy czuł się w obowiązku walczyć z nimi. Mało tego, chcemy, by każdy mógł śmiało mówić o tym, co go boli. Pragniemy, by gospodarzem naszego kraju był cały lud pracujący. Mówi o tym nasza konstytucja. Tak jednak jeszcze nie jest. Metody hamowania krytyki, metody ustalania każdego szczegółu „odgórnie" wpłynęły na przytłoczenie twórczej myśli ludu. A przecież dla nas właśnie jest najbardziej istotne, by każdy, kto gorąco kocha nasz kraj i kocha nasz lud, a takich jest w Polsce zdecydowana większość myślał, bolał troszczył się o los swej fabryki i wsi, o los swego miasta i powiatu, o los kraju.

Janusz Wiśniewski

K. J. Gałczyński

OJCZYZNA



Wiele pieśni na świecie
ze stulecia w stulecie,
ale jest ton jedyny,
z samej głębi, głębiny;
od kolebki do grobu
ten ton idzie za tobą;
byle szmer, byle nuta,
a już wiesz, że to tutaj.
szyba w słońcu uśpiona —
pelargonia czerwona;
parę gwiazd, parę ptaków,
a już wiesz, skąd ten akord,
listek upadnie w strumień,
a już serce rozumie,
zamyśli się, wypowie,
a co w sercu, to w mowie,
w mowie dziada, pradziada,
co szmerliwa jak trawa,
co się krzewi faliście,
raz jest słowem, raz liściem,
raz pagórkiem, raz chmurą,
porą roku poczwórną,
śniegiem, ptakiem, błękitem,
Szopenem i Norwidem.
Struna ze struną gada,
czas swe wzory układa.
Treść najgłębsza, najszczersza
jarzy się w tyglu serca,
światło pada wysokie
na pracę, na chorągiew —
i jednym światłem świeci
ruch rąk i ruch narzędzi.
I znów iskrzy się nocka
jak lampa szopenowska,
dźwięk skrzypiec nad ulicą,
pelargonia w księżycu,
ciężka gwiazda nad świerkiem,
i znów blask zorzy wielkiej.
Kraju mój, kraju barwny
pelargonie i malwy,
Kraju węgla i stali,
i sosny i konwalii,
grudka twej ziemi w ręku
świeci nawet po ciemku,
tyś mój w śniegu, w spiekocie,
tu dziad spoczął, tu ojciec,
trawa, trawa szmerliwa
białe kości okrywa.
A nam którzyśmy w drodze,
niechaj flaga łopoce,
żeby dźwięczał dźwięk kielni
najcelniej, najrzetelniej —
żeby siła w ramionach,
żeby trud nasz wykonać —
przy stali i przy zbożu,
na lądzie i na morzu—
żeby blask szedł z dni naszych,
dni mozolnych, odważnych,
w wiek sławą złotolistną,
nuto święta, ojczyzno.

ANNA KAMIEŃSKA

WIEC ROBOTNICZY W SPRAWIE POKOJU

Synku! Małą — twoją kołyskę
wyniesiono na wiec
O twoją główkę rozbijają się ciężkie
okrzyki.
O twoje życie, o twoje szczęście
walczą politycy.
Niosą cię, maleńkiego, przez hale
fabryk i wsie.

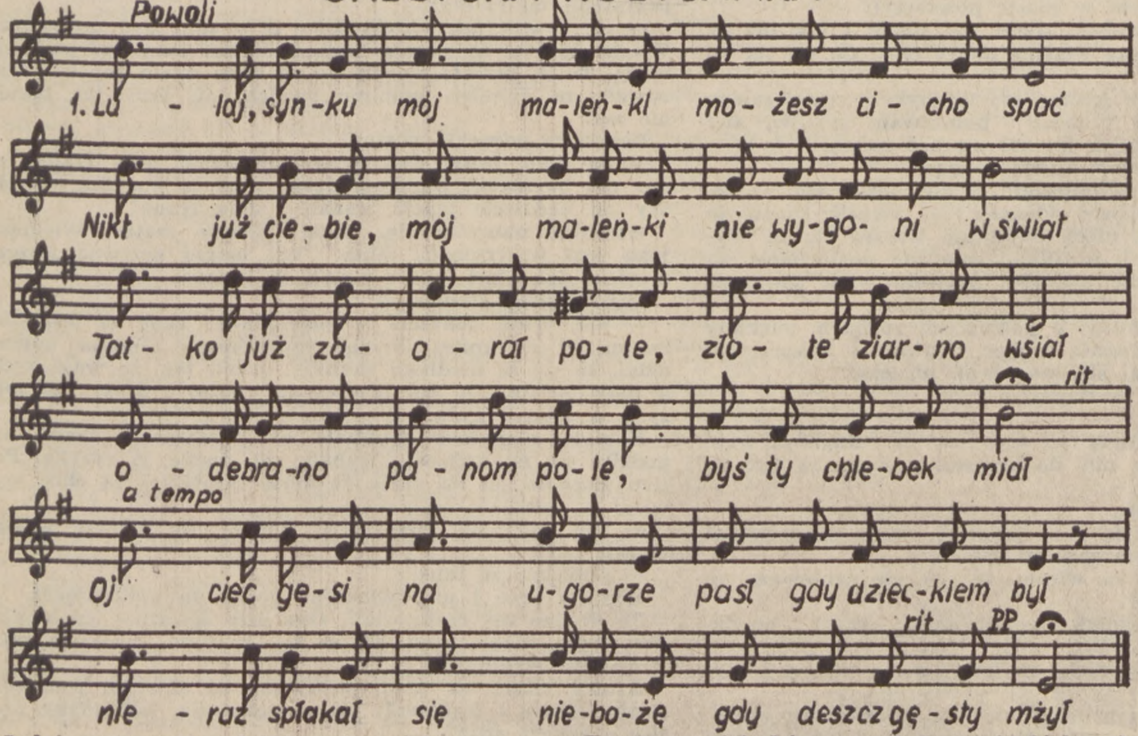
Podnoszą cię na klepiska, nad wody
pełne ryb,
Podają cię bezradnego, z rąk żylastych
do rąk.
Abyś żył, abyś trwał, abyś rósł
rozumem czującym,
Abyś w bezpieczne dni wiódł starość
matki i ojca.

Cóż zostaje jej, matce — wylękłej,
śledzącej oczyma,
Gdzie dziecko jej uniosą historii fale?
Modlić się do rąk polityków, do dłoni
robotników,
Błagać ręce oparte o pługi, ręce
nawykłe do pióra.

Bierzcie łagodnie, bierzcie, nieście
dziecko me w przyszłość swoją,
Otwierajcie jego oczy czyste na blask
rozumu,
Rozwiązujcie jego język niemy dla
słusznej mowy,
Kochajcie go ciepłem ziarna, płócien,
stali...

Niech imię wojny, która żywi się
szczęściem matek,
Zniknie na zawsze groźne — precz!
Synku! nie bój się, nie bój!
Niosą cię na robotniczy wiec.

CHŁOPSKA KOŁYSANKA



Lulaj, synku mój maleńki, możesz cicho spac
Nikt już ciebie mój maleńki nie wygoni w świat
Tatko już zaorał pole, złote ziarno wsiał
odebrano panom pole, byś ty chlebek miał
Ojciec gęsi na ugorze pasł, gdy dzieckiem był
nieraz spłakał się niebożę, gdy deszcz gęsty mżył.

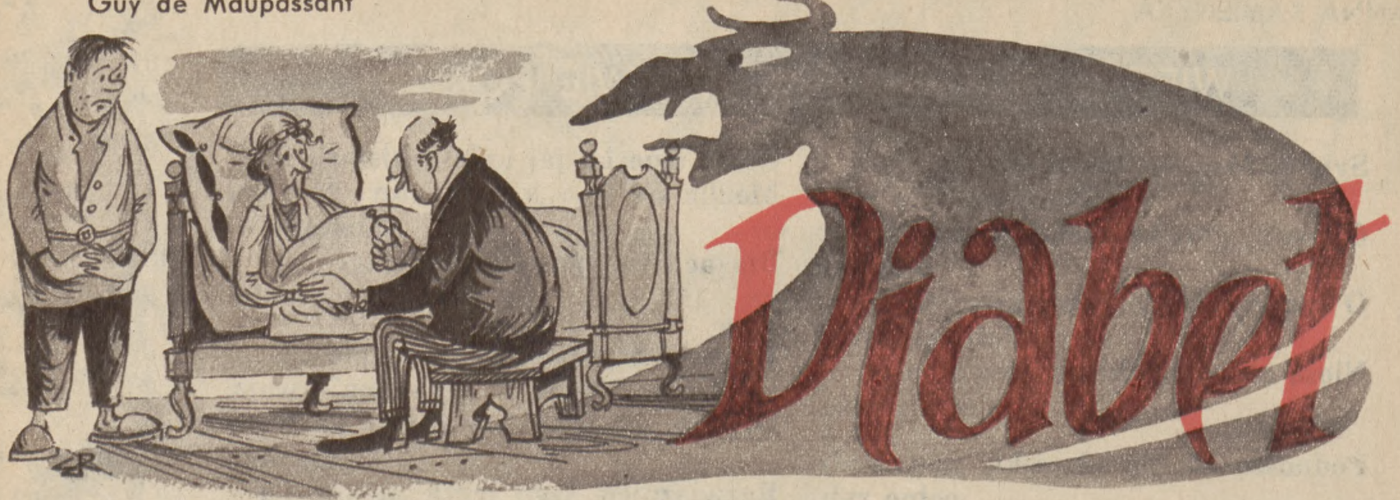
Ty się uczyć będziesz w szkole wśród bielonych
ścian
nie wygoni cię na pole dziedzic ani pan
Jasno, ciepło w naszej chatce, chleba mamy
w bród
nie zagraża nam, syneczku, na przednówku głód.

Ty więc cicho, mój syneczku, w kolebeczce śnij
gdy ucichną me piosenki, śpij, syneczku, śpij.



Guy de Maupassant

Diabeł



Wieśniak stał naprzeciw lekarza u łoża umierającej. Stara — przytomna, spokojna i blada — z rezygnacją patrzyła na obu, przysłuchując się ich rozmowie. Miała umrzeć i nie buntowała się przeciwko losowi; skończył się jej czas; liczyła lat dziewięćdziesiąt dwa.

Przez otwarte okno i drzwi strumienie upalnego lipcowego słońca płynęły na nierówne klepisko, ubite sabotami czterech chłopskich pokoleń. Dolatywała tu także woń z pola, niesiona przez gorący wiatr, woń traw, zboża i liści, palonych południowym upałem. Koniki polne przekrzykiwały się, napełniając powietrze suchym trzaskiem, podobnym do odgłosu drewnianych kołatek, jakie sprzedaje się dzieciom na jarmarkach.

Lekarz rzekł głośniej:

— Bontemps, nie możecie tak zostawić matki całkiem samej, w tym stanie. To się może lada chwila skończyć.

Wieśniak ze smutkiem w głosie powtórzył:

— Kiedy ja muszę zwieźć zboże pod dach; i tak już za długo leży w polu. Teraz właśnie dobry czas. Co wy na to, matka?

Umierająca, która się jeszcze nie wyzbyła normandzkiego skąpstwa, spojrzeniem i miną potakiwała synowi, aby zwoził zboże do stodoły, a jej dał umrzeć samej.

Ale lekarz rozgniewany, tupnął nogą:

— Cham jesteście, rozumiecie? Ja nie pozwalam na to, rozumiecie? Skoro musicie właśnie dziś zwozić zboże, to idźcie po starą Rapet, niech dopilnuje waszej matki. Wymagam tego, słyszycie? A jeżeli mnie nie posłuchacie, to kiedy na was przyjdzie choroba, pozwolę wam zdechnąć jak psu, rozumiecie?

Wieśniak, wysoki, chudy, o powolnych ruchach, znękany niezdecydowaniem, bojaźnią wobec doktora i zakorzenionym skąpstwem, wahał się, rachował, mruczał:

— A ile ona bierze, ta Rapet?

Lekarz krzyknął:

— Czy ja wiem? Zależy od tego, na jak długo ją weźmiecie. Umówcie się z nią, do kroćset! Ale ma tu być za godzinę, rozumiecie?

Chłop zdecydował się.

— Idę, idę, nie ma się o co gniewać, panie konsyliarzu!

Doktor na odchodnym zawołał jeszcze:

— Uważajcie tylko, bo wiecie, że jak się zgniewam, to nie ma ze mną żartów!

Po jego wyjściu wieśniak zwrócił się do matki i powiedział z rezygnacją:

— Idę po Rapetową, kiedy on każe; zaraz wrócę. I wyszedł także.

Stara Rapet, z zawodu prasowaczka, dozorowała umarłych i umierających we wsi i okolicy. Zaszywała swych klientów w płótno, z którego nie mieli się wydostać, i powracała do żelazka, aby prasować bieliznę dla żywych. Pomarszczona była jak zeszłoroczne jabłko, zła, zazdrosna, potwornie skąpa, zgięta we dwoje, jak gdyby od ciągłego prasowania przełamała się w krzyżach. Zdawało się, że agonia budziła w niej pewien rodzaj cynicznego upodobania. Mówiła wyłącznie o ludziach, na których śmierć patrzała, o rozmaitych zgonach, których była świadkiem, a powtarzała wciąż te same szczegóły z wielką dokładnością, jak myśliwy opowiada o swoich strzałach.

Kiedy Bontemps przyszedł do niej, rozrabiała farbkę na marszczone kryzy wieśniaczek. Powiedział jej:

— Dzień dobry. Co u was słychać, wszystko dobrze, matko Rapet?

Zwróciła się ku niemu:

— Po staremu, po staremu. A co u was?

— U mnie? Wszystko dobrze. Tylko, że coś z matką..

— Z matką?

— Tak, z matką.

— Co jej jest?

— Tylko czekać, jak się przeniesie na tamten świat.

Stara kobieta wyciągnęła ręce z wody; niebieskawe, przezroczyste krople spływały z jej palców do cebrzyka.

Nagle spytała ze współczuciem:

— To już tak z nią źle?

— Doktor mówi, że jutra może nie doczekać.

— No, to pewno z nią źle!

Bontemps wahał się. Chciał przygotować grunt dla swej propozycji. Ale że nic mu na myśl nie przyszło, od razu przystąpił do rzeczy:

— Ile byście tak wzięli, żeby przy niej być do końca? Wiecie dobrze, że ja nie bogacz. Nawet sługi trzymać nie mogę. To ją przecie zmogło — za dużo miała roboty! Pracowała za dziesięć, pomimo swoich lat. Dziś już takich nie ma!

Repetowa odrzekła powoli:

— Są dwie ceny: dwa franki za dzień, trzy franki za noc dla bogatych; frank za dzień, dwa za noc dla innych. Wy mi będziecie płacić franka i dwa franki.

Wieśniak namyślił się. Znał dobrze matkę. Wiedział, jaka jest wytrzymała, silna. To mogło potrwać jeszcze z osiem dni, choć lekarz mówił co innego.

Odpowiedział stanowczo:

— Nie. Wolę, żebyście mi powiedziały cenę za wszystko razem, aż do końca. Trzeba zaryzykować. Doktor powiedział, że się to niedługo skończy. Jeżeli tak, to wasz zysk, a moja strata. A jak przetrzyma jutro i dłużej, to mój zysk, a wasza strata.

Kobieta zdziwiona spojrzała na mówiącego. Nigdy nie godziła się na ryczałt... Wahała się, nęciło ją ryzyko. Potem przyszło jej na myśl, że może Bontemps ją chce wywieść w pole.

— Nie mogę nic powiedzieć, dopóki nie zobaczę waszej matki.

— Chodźcie ze mną.

Wytarła ręce i nie zwlekając poszli do umierającej.

Po drodze nie rozmawiali. Ona szła śpiesznie, on wyciągał swoje długie nogi, jakby za każdym krokiem miał przesadzić strumień.

Krowy leżące na polu, zleniwiałe od skwaru, podniosły ciężko głowy i wydawały słabe stęknięcia, jak gdyby prosiły o świeżą trawę.

Zbliżając się do domu Bontemps mruknął:

— A gdyby już było po wszystkim?

Ton głosu wyrażał jego niejasne życzenie.

Ale stara żyła. Patrzała w pułap leżąc na barłogu, ręce złożyła na fioletowej, bawełnianej kołdrze, ręce przerażająco chude, obrzmiałe, podobne do dziwacznych stworzeń, krabów albo pająków, powykręcane od reumatyzmu i ciężkich prac, których niemało wykonały w ciągu stu lat bez mała.

Rapetowa zbliżyła się do chorej i spojrzała na nią uważnie. Wzięła ją za puls, opukała, zapytała o coś, aby usłyszeć jej głos, potem znowu uważnie się jej przypatry-

wała i wyszła z wieśniakiem. Wyrobiła sobie zdanie: stara nie przeżyje nocy.

— No więc?

Kobieta powiedziała:

— To potrwa dwa dni, może trzy. Dacie mi sześć franków za wszystko razem.

— Sześć franków — zawołał — sześć franków! Czyście zwariowały? Ja wam mówię, że to na pięć, sześć godzin, nie więcej!

Długo targowali się zaciekle. Ale że kobieta chciała odejść, czas mijał, a zboże samo do stodoły zajść nie mogło, zgodził się na koniec:

— Niech będzie sześć franków za wszystko, aż do pogrzebu.

— Sześć franków.

I wielkimi krokami odszedł do swego zboża, leżącego na polu w upalnym słońcu.

Kobieta wróciła do chaty. Wzięła się do roboty, gdyż czuwając przy umierających lub zmarłych stale pracowała dla siebie lub dla rodziny, która ją najęła do tej podwójnej pracy podwyższając zwykłe wynagrodzenie.

Nagle zapytała:

— A sakrament przyjęłyście, matko Bontemps?

Wieśniaczka zaprzeczyła poruszeniem głowy, a Rapetowa, która była dewotką, powstała żywo.

— Wielki Boże! Co to ma być? Lecę po księdza proboszcza.

— Ksiądz wyruszył niebawem w białej komży; ministrant głośnym dzwonieniem obwieszczał cichej i nagrzanej wiosce, że proboszcz idzie z Panem Bogiem. Ludzie pracujący w oddali zdejmowali wielkie kapelusze i zaprzestawali roboty, dopóki biały strój kapłana nie zniknął za jakąś chatą; kobiety wiążące snopy zwróciły się w stronę, skąd dochodził dźwięk, i kreśliły znak krzyża, czarne kury przestraszone biegły chwiejąc się na nogach, wzdłuż rowu, aż do dobrze im znanej dziury, gdzie nagle zapadały; źrebak, przywiązany do pala na łące, przestraszył się białej komży i zaczął biegać wokoło szarpiąc się na sznurze. Ministrant w czerwonej szacie szedł prędko, kapłan kroczył za nim z głową opuszczoną na piersi, w birecie na głowie, szepcąc modlitwy; za nimi dreptała Rapetowa skulona we dwoje, jak gdyby lada chwila miała upaść na ziemię, z rękami złożonymi, jak do modlitwy.

Bontemps zobaczył ich z daleka. Zapytał:

— A dokąd to jegomość?

Jego parobek, bardziej domyślny, odpowiedział:

— Idą do waszej matki z Panem Jezusem.

Wieśniak nie był zdziwiony.

— Tak, tak. Na to nie ma już rady.

I wziął się znów do roboty.

Matka Bontemps wyspowiadała się, otrzymała rozgrzeszenie, przyjęła komunię i kapłan odszedł, pozostawiając obie kobiety w parnej i dusznej izbie.

Rapetowa spoglądała na umierającą, ciekawa, czy też to jeszcze długo potrwa.

Dzień się kończył; świeże powietrze wchodziło z chłodnym wiatrem, który poruszał święty obraz, przytwierdzony dwiema szpilkami do ściany; małe firanki, niegdyś białe, dziś zżółkłe i popstrzone przez muchy, podfruwały, jak gdyby chciały uwolnić się, ulecieć jak dusza starej kobiety. Ona, nieruchoma, z oczami szeroko otwartymi, zdawała się obojętnie czekać śmierci, tak bliskiej, widocznie jeszcze się ociągającej. Krótki oddech ze świstem wydobywał się ze ściśniętego gardła. Niedługo ustanie — i będzie na ziemi o jedną kobietę mniej, o jedną kobietę, po której nikt nie będzie płakał.

O zmroku wrócił Bontemps. Zbliżywszy się do łóżka spostrzegł, że matka żyje jeszcze, i zapytał:

— No, jak tam?

Tak pytał i dawniej, kiedy czuła się trochę niezdrowa.

Pożegnał Rapetową z poleceniem:

— Jutro o piątej, pamiętajcie.

— Jutro o piątej — odrzekła.

Przyszła w istocie z blaskiem dnia.

Zanim Bontemps wyszedł w pole, zjadł zupę, którą sobie sam ugotował.

Kobieta zapytała:

— Jak z matką? Żyje?

Odpowiedział ze złośliwym zmrużeniem oczu:

— Ma się nawet lepiej.

Zaniepokojona, zbliżyła się do umierającej, której stan się nie zmienił; leżała, apatyczna i nieruchoma, z oczami otwartymi i zaciśniętymi rękami, złożonymi na kołdrze. Rapetowa zrozumiała, że to może trwać dwa dni, cztery dni, nawet osiem dni; i jej skąpe serce ścisnęła obawa, a także złość na chłopa, który ją wystrychnął na dudka, i na kobietę, która nie chciała umierać.

Wzięła się jednak do roboty i czekała, od czasu do czasu rzucając spojrzenie na pomarszczoną twarz umierającej.

Bontemps powrócił na śniadanie; wydał się zadowolony, prawie wesoły; potem znowu odszedł. Zwiózł szczęśliwie zboże do stodoły.

Rapetowa zżymała się; każda uchodząca minuta wydawała się jej kradzionym jej czasem, kradzionym jej groszem. Miała chęć, gwałtowną chęć chwycić tę upartą babę za szyję, ścisnąć trochę i zatrzymać ten szybki oddech, który kradł jej czas i pieniądze.

Pomyślała jednak o niebezpieczeństwie; potem przyszło jej na myśl co innego, zbliżyła się do łóżka i zapytała:

— Widziałyście wy kiedy diabła?

Matka Bontemps szepnęła:

— Nie.

Rapetowa stała się rozmowna i zaczęła opowiadać jej historie, które miały przerazić osłabiony umysł umierającej.

— Kilka minut przed śmiercią — mówiła — pokazuje się wszystkim ludziom diabeł. Ma w ręce miotłę, na głowie rondel i głośno krzyczy. Jak go człowiek zobaczy, to ma już tylko parę chwil życia. — Zaczęła wyliczać tych, którym diabeł ukazał się w jej obecności: Józef Loisel, Eulalia Ratier, Zofia Padagneau, Serafina Grospied.

Matka Bontemps, poruszona opowiadaniem, podniosła nieco ręce i usiłowała zwrócić twarz ku oknu.

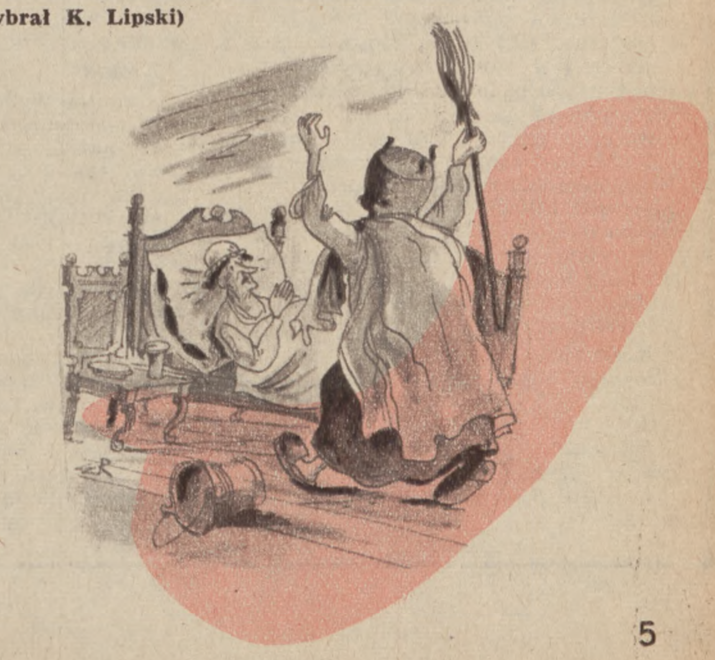
Nagle Rapetowa znikła za łóżkiem. Wyjęła z szafy płachtę, którą się okryła, na głowę nasadziła rondel, którego trzy krótkie, wygięte nóżki wyglądały jak rogi; do prawej ręki wzięła miotłę, do lewej chwyciła blaszane wiadro, które, rzucone silnie do góry, spadło na ziemię z głośnym brzękiem. W tym przebraniu weszła na krzesło, odsunęła firankę wiszącą u łóżka i ukazała się chorej gestykulując, machając rękami, wydając przeraźliwe okrzyki, które przybierały głuchy dźwięk w żelaznym garnku, zasłaniającym jej twarz; przy tym bezustannie wywijała miotłą.

Przerażona, z obłąkanym wzrokiem, umierająca kobieta próbowała ostatniego nadludzkiego wysiłku, aby podnieść się z barłogu i uciec; ściągnęła kołdrę z ramion i piersi, lecz z głębokim westchnieniem opadła na poduszkę — to był już koniec.

A Rapetowa spokojnie umieściła wszystko na dawnym miejscu: miotłę rzuciła do kąta, płachtę do szafy, rondel do sieni, wiadro na podłogę, krzesło ustawiła pod ścianą. Następnie z zawodową biegłością przymknęła ogromne oczy zmarłej, postawiła obok łóżka miskę, wlała nieco święconej wody, zanurzyła w niej bukszpan wiszący nad komodą, uklękła i zaczęła z zapałem odmawiać modlitwy za umarłych, które umiała na pamięć, jako należące do jej rzemiosła.

A gdy Bontemps wrócił wieczorem, zastał ją przy modlitwie i natychmiast obliczył, że zyskała jeszcze na nim, ponieważ czuwała trzy dni i jedną noc, co powinno było kosztować pięć franków, a nie sześć, które miał jej płacić.

(wybrał K. Lipski)



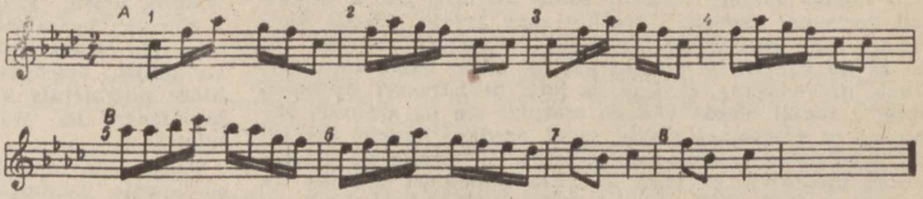
FRANCISZKA ZOZULA

SYRBA TANIEC RUMUŃSKI

Charakterystyczną powszechną formą ludowego tańca w Rumunii jest „choro". Chora mogą być męskie, żeńskie i mieszane. Tańczy się w kole, albo w jednym, czy dwóch półkolach.

Często spotykaną formą jest także syrba — rodzaj chora, briul — taniec męski. Poza tym są jeszcze różne tańce parowe oraz tańce o nazwach kwiatów, zwierząt itp. Choro jest tańcem o tempie szybkim, coraz to wzrastającym, rytmicznie żywym i płomiennym, w którym spotykamy często nieoczekiwane krótkie przerwy. Uczestnicy często tańczą do upadłego, wodzirej od czasu do czasu pokrzykuje, a gromada odpowiada mu okrzykiem. Tańczący ujmują się swobodnie za ręce, chwytają za pasy sąsiadów, lub splatają ręce z tyłu na krzyż. Głowy tańczących dumnie uniesione, postawa wyniosła. Tańczą żywo, z temperamentem, w szybkim tempie, rytmicznie potrząsając ramionami. Ruchy sprężyste, jednocześnie lekkie i płynne. Podajemy w tym numerze opis syrby. Taniec ten zasadniczo może być tańczony trzema „krokami", ale chcąc naszym czytelnikom dać pewną swobodę kompozycji podajemy więcej „kroków". Strój rumuński nie jest jednolity, każdy region ma inny kostium. Podajemy kostium, którego wykonanie, naszym zdaniem, nie sprawi świetlicom zbytnich trudności. Dziewczyna nosi białą bluzkę bogato wyszywaną, bez kołnierzyka. Wyszycie może być koloru czerwonego, czarnego, lub też zawierać kombinacje z żółtym i złotym. Rękawy u bluzki szerokie, sięgające poza łokcie, również bogato wyszywane, zakończone falbaneczką. Biała, szeroka płócienna spódnica zakończona jedną albo dwiema pliskami, haftowanymi, tak jak bluzka. Wyszycia można zastąpić naszytą kolorową, wzorzystą wstążką. Na spódnicę nakłada się dwa fartuchy (płachty); z przodu wąski, w pasy albo kwadraty, z tyłu — dość szeroki, może być plisowany, koloru ciemno czerwonego, zakończony długim pasem, który okręca się dwa razy i zawiązuje z lewej strony; końce pasa krótkie, zakończone chwastami w najróżniejszych kolorach. Na nogach białe pończochy i miękkie, jasnobrązowe kierpce z długimi, ciemnymi sznurkami, obwiązanymi wokół nóg. Na głowie chusteczka związana z tyłu na węzeł. Włosy zaplecione w dwa warkocze z małymi czerwonymi kokardkami na końcach.

Chłopak nosi białą, długą koszulę z wykładanym lub wąskim kołnierzykiem, gładkim lub wyszywanym; przy stojącym kołnierzyku niewielkie wyszycie na piersiach i rękawach. Koszula wypuszczona na spodnie, przewiązana jest szerokim, skórzanym pasem. Długie, białe spodnie wełniane lub z bielonego lnianego płótna, wpuszczone w wełniane, białe skarpety. Na nogach, kierpce, takie jak u dziewcząt. Na głowie szara albo biała czapka barankowa.



ELEMENTY TAŃCA

Wszystkie „kroki" wykonuje się w takcie $^2/_4$

Krok 1

Na raz ($^1/_8$) — krok prawą nogą w prawo, ciężar ciała na prawej nodze, lewa wyciągnięta na palcach (rys. 1);

na „i" ($^1/_8$) — krok lewą nogą w prawo, to zn., że noga lewa krzyżuje z tyłu prawą nogę, ciężar ciała przechodzi na nogę lewą, prawa noga z przodu wyprostowana na palcach. Jednocześnie z przeniesieniem ciężaru ciała na lewą nogę zwrot bioder w lewo. Górna część tułowia możliwie nieruchoma (rys. 2);

na „dwa" ($^1/_8$) — to samo, co na „raz";

na „i" ($^1/_8$) — krok lewą nogą w prawo; tym razem lewa noga krzyżuje prawą z przodu, ciężar ciała przechodzi na lewą nogę, prawa z tyłu za lewą na palcach. Jednocześnie ze skrzyżowaniem lewej nogi zwrot bioder w prawo. Górna część tułowia możliwie unieruchomiona (rys. 3);

Krokiem tym można posuwać się w prawo i w lewo; w prawo — należy rozpoczynać z prawej nogi, w lewo — z lewej nogi.

Krok 2

Krok ten wykonuje się w ciągu dwóch taktów.

Takt 1.

Na „raz" ($^1/_8$) — krok prawą nogą w prawo, jak na raz „kroku" 1;

na „i" ($^1/_8$) — to samo co na „i" kroku 1;

na „dwa" ($^1/_8$) — prawą nogę dostawić do lewej. Biodra wracają do normalnej pozycji.

na „i" ($^1/_8$) — tupnąć lewą nogą w miejscu.

Takt 2

Na „raz" ($^1/_8$) — krok lewą nogą w lewo, tak jak na „raz" taktu 1;

na „i" ($^1/_8$) — prawa noga krzyżuje z tyłu lewą nogę. Ciężar ciała przechodzi na tylną lewą nogę z jednoczesnym zwrotem bioder w prawo;

na „dwa" ($^1/_8$) — lewą nogę dostawić do prawej. Biodra wracają do normalnej pozycji;

na „i" ($^1/_8$) — tupnąć prawą nogą w miejscu.

Krok 3

Krok ten wykonuje się w ciągu 2 taktów; podajemy kilka jego odmian.

a) Takt 1.

Na „raz" ($^1/_8$) — krok prawą nogą w prawo, ciężar ciała na prawej nodze;

na „i" ($^1/_8$) — lewa noga krzyżuje prawą nogę z tyłu, ciężar ciała przechodzi na lewą nogę. Zwrot bioder w lewo;

na „dwa" ($^1/_8$) — niewielki krok prawą nogą w prawo;

na „i" ($^1/_8$) — lekki podskok na prawej nodze, lewa noga zgięta w kolanie, uniesiona w przód w prawo, kolano zwrócone w prawą stronę.

Takt 2 — to samo, co na takt 1, rozpoczynając z lewej nogi w lewo

b) Na ostatnią ósemkę taktu 1 i 2, zamiast uniesienia nogi z przodu, należy nogę lewą w takcie 1, a nogę prawą w takcie 2 wyrzucić do przodu, palce uniesione nieznacznie w górę, pięta opuszczona w dół. (rys. 5)

Takt 1 — wykonuje się to sam, co na takt 1 (a)

Takt 2

Na raz ($^1/_8$) — krok lewą nogą w lewo w skos. Jednocześnie zwrot bioder w lewo;

na „i" ($^1/_8$) — lekki podskok na lewej nodze, jednocześnie prawa noga, zgięta w kolanie, uniesiona do przodu w lewo;

na „dwa" ($^1/_8$) — niewielki krok prawą nogą w prawo w skos, ze zwrotem bioder w prawo;

na „i" ($^1/_8$) — lekki podskok na prawej nodze z jednoczesnym uniesieniem lewej nogi do przodu w prawo, czyli na takt 2 powtarza się 2 razy to samo, co na „dwa" taktu 1, raz na lewej nodze, raz na prawej nodze.

Krok 4

Krok ten składa się z dwóch elementów: z „kroku" właściwego i przytupu. Wykonuje się go na 4 takty. Pozycja wyjściowa — 2 pozycja, t. zn. nogi rozstawione na odległość stopy.

Takt 1

Na „raz" ($^1/_8$) — przeskok na prawą nogę krzyżując nią lewą z przodu, jednocześnie lewa noga, lekko zgięta w kolanie automatycznie odskakuje w tył. Prawa ręka ze skrętem tułowia w lewo (prawe ramię wysuwa się bardziej do przodu) z zamachem opada w dół. Tułów pochylony, głowa opuszczona (rys. 5).

na „i" (1/8) — przejście na tylną lewą nogę, prawa noga zgięta w kolanie odrywa się od podłogi na wysokości mniej więcej 10 cm. (rys. 6).

na „dwa" (1/8) — krok prawą nogą w prawo, lewa na palcach;

na „i" (1/8) — lewą nogą w prawo, krzyżując nią z przodu prawą nogę. Ciężar ciała na lewej nodze, prawa na palcach. Skręt tułowia w prawo (lewym ramieniem do przodu).

Takt 2

na „raz" (1/8) — krok prawą nogą w prawo, lewa na palcach;

na „i" (1/8) — krok lewą nogą w prawo, krzyżując nią z tyłu prawą nogę. Ciężar ciała na lewej nodze, zwrot bioder w lewo (rys. 2).

na „dwa" (1/8) — powtórny krok prawą nogą w prawo;

na „i" (1/8) — krok lewą nogą w prawo, krzyżując nią prawą nogę z przodu. Zwrot bioder w prawo (rys. 3).

Takt 3

na „raz" (1/4) — krok akcentowany prawą nogą w prawo (przytup);

na „dwa" (1/8) — dostawić lewą nogę z przytupnięciem;

na „i" (1/8) — powtórne przytupnięcie lewą nogą w miejscu.

Takt 4

na „raz" (1/4" — akcentowany krok lewą nogą w prawo;

na „dwa" (1/8) — dostawić prawą nogę do lewej z przytupnięciem;

na „i" (1/8) — powtórnie tupnąć prawą nogą w miejscu.

Krok 5

Krok ten składa się z dwóch elementów: „kroku" właściwego i przytupu. Wykonuje go się na 4 takty.

Takt 1

na „raz" (1/8) — krok prawą nogą w przód. Jednocześnie lewą stopę z tyłu prawego kolana, lewą nogę otworzyć z boku (rys. 7).

na „i" (1/8) — podskok na prawej nodze, lewa noga pozostaje w tej samej pozycji co na „raz";

na „dwa" (1/8) — lewą nogę postawić z tyłu krzyżując nią prawą. Jednocześnie prawą stopę oprzeć z tyłu lewego kolana, prawa noga rozwarta;

na „i" (1/8) — podskok na lewej nodze, prawa w poprzedniej pozycji,

Takt 2

na „raz" (1/8) — prawą nogę postawić ze skrzyżowaniem z tyłu za lewą nogą. Lewa noga, tak jak na „raz" taktu 1;

na „i" (1/8) — podskoki na prawej nodze;

na „dwa" (1/8) — znowu postawić lewą nogę z tyłu za prawą. Prawa noga jak na „dwa" taktu 1;

na „i" (1/8) — podskok na lewej nodze.

Takt 3 — przytup prawą, lewą, prawą jak na takt 3 kroku 4.

Takt 4 — przytup lewą, prawą, lewą tak jak takt 4 kroku 4.

OPIS TAŃCA

Tańczący ustawieni w kole. Ręce trzymają na ramionach, ustawieni są w dowolnej kolejności — albo na przemian chłopak — dziewczyna, albo 2 dziewczyny — chłopak, w zależności od ilości tańczących chłopców i dziewczynek.

Tańczą cały czas w kierunku przeciwnym ruchowi wskazówki zegara.





Rys. 1



Rys. 2



Rys. 3



Rys. 4





Melodia A

Takt 1—4: wykonuje się krok 1, krok 2, albo też jedną z odmian kroku 3. Pozostawiamy tu zupełną swobodę wyboru instruktorom. Podaliśmy kilka „kroków“, które można tu zastosować, gdyż taniec ten jest powtarzany wielokrotnie i za każdym razem wskazane jest „krok“ zmieniać.

Melodia B (powtarza się 2 razy).

Takt 5—8; wykonuje się „krok 4“ dwa razy,

Rys. 5



Rys. 6

Rys. 7



Powtórzenie melodii A.

Takt 1—4 — wykonuje się jeden z pierwszych 3 kroków.

Powtórzenie melodii B.

Takt 5—8 — wykonuje się dwa razy krok 5.

Taniec można rozpoczynać od tempa szybkiego, albo też rozpoczyna się wolno, a w miarę powtarzania tańca tempo wzrasta. Melodię powtarza się kilka, albo kilkanaście razy, pamiętając o tym, że pod koniec obowiązuje zawrotne tempo.

W ROCZNICĘ WARSZAWSKIEGO FESTIWALU

St. R. Dobrowolski

MŁODYM NA POWITANIE

Piękny, diablo piękny jest świat,
wiele, wiele cudnego na świecie!
Ale cóż jest z tym cały wart
jeśli serca w nim nie znajdziecie?

Jest mowa w barwach lądów
i mórz,
ziemia skarby czarodziejskie kryje
jak w legendach, jak w baśni!
Lecz cóż,
jeśli serce dla serca nie bije?

W zimnym świecie, o przyjaciele,
najcenniejszy skarb dla nas niczym,
tylko gorycz, tylko smutku weń
wiele
— ciężką chmurą zaciąga się życie.

Już srebrnieje mi na skroniach
włos,
ale serce nie chce wiedzieć nic
o siwiznie.
I dlatego śmiem dziś zabrać tu
głos
by Was witać w mej warszawskiej
ojczyźnie.

W poetyckiej srebniejącej głowie
młoda ziemia wciąż majaczy
— i oto
chcę, by dla Was zakwitła nowa
i piękniejsza, wspanialsza niż dotąd.

To dla takiej, dla szczęśliwej
właśnie
nasze życie i nasza tu praca:
żeby było wciąż radośniej i jaśniej,
żeby świat się pogodą rozzłacał,
żeby słońce, żeby kwiaty na stole
żeby nigdy zła chmura na czole!

Oto nasza tęsknota młodzieńcza
to nasz sztandar stubarwny — jak
tęcza!

Wy go wznieście nad światem
wyżej
— niech łopoce ziemi zielonej:
nad Pekinem i nad Paryżem,
Nad Moskwą i Waszyngtonem.
Niech się pyszni potęgą bezkrwawą
nad Berlinem i nad naszą
Warszawą!

Żeby serce ziemi zabiło
opętane przez młodość i miłość!

Satyra

ANTONI MARIANOWICZ

KULTURA

Ach, ileż w kulturze treści!
W kulturze wszystko się mieści!

Koncerty, książki, bale,
Wycieczki, festiwale,
Wystawy i projekcje,
Występy i prelekcje,
Imprezy i audycje,
To, co rozjaśnia życie,
Od czego serca miękną,
Zadnieją obyczaje.
Istnienia całe piękno,
Kultura ludziom daje.

Kultura trwa nieprzerwanie,
W kulturze wszystko zostanie!

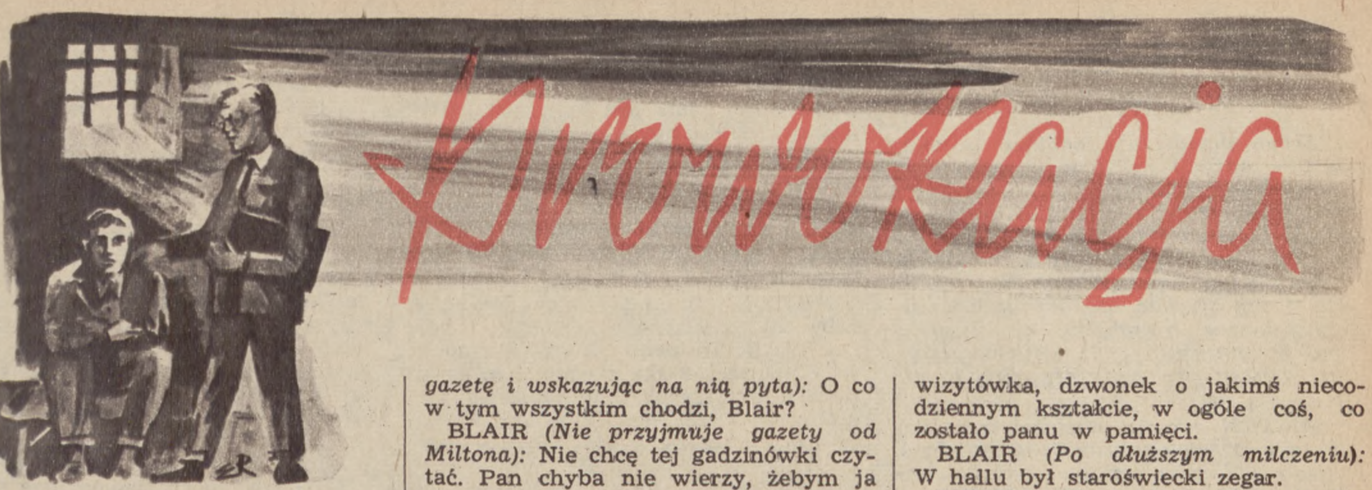
Gdy w Rybnej ktoś Centrali
Robotę tak zawali,
Że z rybą u nas krucho
(Od śledzia samo ucho)
Lub gdy się całkiem zbłaźni
Jako kierownik łaźni,
Nabałagani w POM-ie,
Lub napaskudzi w ZOM-ie,
Gdy czyści źle kominy,
Lub piecze bułki z gliny,
Jest kiepskim jubilerem,
Kelnerem lub fryzjerem,
niezdolnym bilansistą,
Drogistą lub cyklistą,
Niezręcznym konowałem,
Partaczem niebywałym,
W rachunkach robi błędy
I galimatias wszędy,
Wyrabia stoły krzywe,
Źle robi lewatywę —
To w przyszłość swą z nadzieją
Spogląda, wiedząc z góry,
Że jeśli go wyleją,
Wnet przyjdzie do... kultury.

Ach, ileż w kulturze treści!
W kulturze wszystko się mieści!

A jeśli typ w kulturze
Popełni gafy duże,
Naknoci w straszny sposób,
Narobi tam bigosu,
Aż kraj się o nim dowie,
Że ma zajączki w głowie,
To facet wie już z góry,
Że przejdzie mimo wszystko —
Z kultury — do kultury
Na wyższe stanowisko!

Kultura trwa nieprzerwanie.
W kulturze wszystko zostanie!





Prowokacja

Na podstawie powieści P. Guzy „Cienie na gwiazdach", opracował ŁER.

O S O B Y

BLAIR — komunista, oskarżony o morderstwo.
MILTON — adwokat, obrońca Blaira
DRAKE — Adwokat, wspólnik Miltona.
KINGSBURY — Detektyw, przyjaciel Miltona.
TRILLING — Prokurator
WIGGIN — agent FBI,
PANI BOWMAN — żona zamordowanego.
JANE SWANSON
JENNY SANFORD
GLORIA — sekretarka Miltona
ŚWIADEK

PROLOG

(Scena przedstawia celę więzienną. Przy zakratowanym, umieszczonym wysoko oknie, tyłem do widowni stoi Blair. Po chwili zza sceny słychać rozmowę. Blair słysząc ją odwraca się gwałtownie i zaczyna się przysłuchiwać)

STRAŻNIK *(zza sceny):* Nie wiem, czy właściwie powinienem pana wpuścić. Nie mam na to pozwolenia.

MILTON: Tylko mnie pan spróbuj nie wpuścić! Pan wie, że ze mną nie ma żartów, a Blair to mój klient.

STRAŻNIK: Okey, panie Milton, wpuszczę. Tylko żeby potem nie było na mnie.

MILTON: Co ma być? Chyba pan nie przypuszcza, żeby mi sędzia zabronił widzenia się z moim klientem.

STRAŻNIK: Okey.

(Słychać odgłos otwierania drzwi z klucza, a po chwili przez otwarte już drzwi wchodzi do celi Milton)

BLAIR: Nareszcie! Czekam na pana od wczoraj. Dzień dobry, panie Milton.

MILTON: Dzień dobry, Blair.

BLAIR: Spodziewałem się pana już wczoraj.

MILTON: Dopiero dziś rano dowiedziałem się o tym. *(Podaje Blairowi gazetę i wskazując na nią pyta):* O co w tym wszystkim chodzi, Blair?

BLAIR *(Nie przyjmuje gazety od Miltona):* Nie chcę tej gadzinówki czytać. Pan chyba nie wierzy, żebym ja go zabił, co?

MILTON: Na razie w nic nie wierzę. Obchodzą mnie tylko fakty. Niech mi pan najlepiej o wszystkim opowie. Jak to się stało, że pana przymknięto?

BLAIR: Może mi pan dać papierosa?

MILTON *(wyciąga papierośnicę, częstuje Blaira papierosem i sam również zapala):* Kiedy pana aresztowali?

BLAIR: Przedwczoraj w nocy. Cała historia jest od początku do końca sfingowana.

MILTON: Nie pytam o pańską opinię, proszę o fakty.

BLAIR: No więc przedwczoraj wracałem w nocy do domu. Była trzecia. Byłem trochę pijany, ale nie za dużo. Przed domem, prawie tuż przed drzwiami, potknąłem się o coś. Było ciemno. Schyliłem się i może mi pan wierzyć lub nie, podniosłem z ziemi rewolwer. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie. No i tak stałem z tym rewolwerem w ręku, gdy jakiś policjant zaświecił mi latarką w oczy. W następnej sekundzie zorientowałem się, że obok leży zabity człowiek. Nie miałem pojęcia, że to Bowman. Skąd mogłem wiedzieć? Powiedzieli mi to dopiero na posterunku. To wszystko.

MILTON: W gazetach piszą, że Bowman został zabity kwadrans po jedenastej. Gdzie pan był w tym czasie?

BLAIR: Z dziewczyną. Nazywa się Jill Hudson, ale jej już tu nie ma. Tej samej nocy wyjechała do Frisco.

MILTON: Ale gdzie pan z nią był? Czy są jacyś świadkowie?

BLAIR *(cicho):* Nie ma świadków, panie Milton. Ja nawet sam nie wiem, gdzieśmy byli. Wiem tylko, że to było mieszkanie jej koleżanki, która na kilka dni gdzieś wyjechała, ale byłem, jak powiadam, trochę pijany, a zresztą noc była ciemna i wcale nie patrzyłem dokąd idziemy. Na moim miejscu też by pan nie patrzył.

MILTON: No, ale chociaż orientacyjnie.

BLAIR *(zastanawia się przed dłuższą chwilę):* To było chyba na Washington Avenue... Przy wejściu do domu jest sklep z kapeluszami. To chyba wszystko, co mogę powiedzieć.

MILTON: Na parterze, pierwszym czy drugim piętrze?

BLAIR: Tego nie pamiętam. Na parterze na pewno nie, szliśmy schodami.

MILTON: Może pan sobie przypomni jakiś charakterystyczny szczegół, po którym moglibyśmy dojść...

BLAIR: Nic nie pamiętam.

MILTON: Może na drzwiach była wizytówka, dzwonek o jakimś niecodziennym kształcie, w ogóle coś, co zostało panu w pamięci.

BLAIR *(Po dłuższym milczeniu):* W hallu był staroświecki zegar.

MILTON: To już coś. Niewiele, ale może się przydać. No, ale sam pan rozumie, panie Blair, co takie alibi jest warte. Zna pan przynajmniej jej adres w San Francisco?

BLAIR: Nie, ale można by napisać do jakiegoś agenta teatralnego, to by jej poszukał.

MILTON: To aktorka?

BLAIR: Tak.

MILTON: Po co pan szukał poprzedniego wieczora Bowmana?

BLAIR: O tym pan też wie?

MILTON: Z gazety.

BLAIR: To prawda, że chciałem się z nim spotkać, ale wcale go nie spotkałem i nie zabiłem go. Daję panu na to moje słowo.

MILTON: Po co pan szukał Bowmana? Do czego był on panu potrzebny? Czy pan wiedział, że w procesie przeciwko komunistom miał on świadczyć przeciwko panu?

BLAIR: Nie wiedziałem. Nigdy go specjalnie nie lubiłem, ale żadnych zastrzeżeń do niego, jako towarzysza partyjnego, nie miałem. Facet mi się nie podobał. Może mi się jego gęba nie podobała, może nie podobał mi się sposób, w jaki się ubierał, no ale przecież za to człowieka się nie morduje.

MILTON: W porządku. Ale ciągle jednak nie odpowiedział mi pan, po co pan szukał Bowmana.

BLAIR *(zastanawia się przez chwilę).* Panie Milton, wiem, że to, co teraz panu powiem, może wyglądać na okoliczność obciążającą mnie. Szukałem cały wieczór Bowmana, tak jest, szukałem i kto wie, czy gdybym go był wtedy spotkał, nie zrobiłbym mu co złego. Ale ja go nie zabiłem, w to musi pan uwierzyć!

MILTON: Co było między wami?

BLAIR: On skrzywdził moją siostrę.

MILTON: Czy pan to zeznał na śledztwie?

BLAIR: Nie. Jak wyjdę stąd, to postaram się ją gdzieś wysłać. Nie chciałbym, żeby nią tu sobie gęby wycierano.

MILTON *(po chwili):* Okey, Blair. *(wstaje).* Jeśli pan chce, podejmę się pana obrony i w tej sprawie. Bóg wie, kto mi za to zapłaci. Ale ostrzegam, jeśli to wszystko, co mi pan tu naopowiadał, jest nieprawdą, ja będę pierwszym, który pana posadzi na krzesło elektryczne. Rozumie pan?

Kurtyna

AKT I

Odsłona I

(Scena przedstawia gabinet Miltona. Jest urządzony skromnie, są w nim tylko najniezbędniejsze meble — biurko, stolik, szafa z aktami, krzesła. Na biurku telefon i plik gazet. W pokoju znajduje się Milton. Siedzi on przy biurku i przegląda gazety. Po chwili zza sceny słychać okrzyki gazeciarzy: CZERWONY ZABÓJCA W ŚLEDZTWIE! SPISEK KOMUNISTYCZNY! CO KRYJE SIĘ ZA ŚMIERCIĄ BOWMANA?)

MILTON *(mnie z gniewem trzymaną w ręku gazetę, przysłuchuje się przez chwilę dobiegającym zza sceny okrzykom, które po chwili słabną i zupełnie milkną, wreszcie ujmuje gwałtownie słuchawkę telefonu i nakręca numer):* Tu Milton. Panie O'Brien, co ma znaczyć ten wasz dzisiejszy wstępniak? Przecież to jest otwarte podżeganie do nienawiści. To jest urabianie opinii publicznej przed procesem. Ja muszę kategorycznie...

(Zza sceny dobiega cichy, głuchy głos O'Briena)

O'BRIEN: Panie Milton, po co się pan unosi? Piszemy to, czego od nas oczekują czytelnicy. Czytelnicy zaś są oburzeni. W żadnym razie nie można tego uważać za wpływanie na przebieg sprawy. Przecież proces jeszcze się nie zaczął.

MILTON: Pan zapomina, że przysięgli będą się składali prawdopodobnie również z czytelników pańskiej gazety. Jak w takich okolicznościach liczyć na bezstronność? Jako obrońca Blaira protestuję. Pan ma czytelników informować tylko o przebiegu śledztwa, nic poza tym.

O'BRIEN: Ta rozmowa mnie nudzi, panie Milton. Umówmy się tak: pan będzie prowadził swoje biuro adwokackie w taki sposób, w jaki się panu będzie podobało, a ja nie będę panu przeszkadzał. I vice versa. Gazetę ja prowadzę i nikt nie będzie mi rozkazywał, co pisać, a co nie. Okey?

MILTON *(odkłada słuchawkę)*

(Na scenę wchodzi Drake. Jest w płaszczu, który po chwili zdejmuje i wiesza na wieszaku. W trakcie rozbierania zaczyna rozmowę z Miltonem)

DRAKE: Nie zgodził się.

MILTON: Co? Jakim prawem?

DRAKE: Takim, że sam może sobie wybierać klientów. Nas w tej chwili nie potrzebuje.

MILTON: Dlaczego się nie zgodził? Co powiedział?

DRAKE: Że sprawa śmierdzi.

MILTON: Święta racja. Ale to nie powód, żeby z niej rezygnować. Nic poza tym nie powiedział?

DRAKE: Nic.

MILTON: All right. Ja z nim porozmawiam. *(Bierze słuchawkę i nakręca numer):* Tu Milton. *(po chwili):* Muszę się z tobą zobaczyć. *(po chwili)* Tak, bardzo pilne. *(Po chwili)* Dobrze, czekam. *(odkłada słuchawkę)*

DRAKE: Mnie się ta cała sprawa nie podoba. Wolałbym się w to nie mieszać. Jestem pewny, że Blair go zabił. Ale mimo to będę wszystko robił tak, jakbym był przekonany o jego niewinności.

MILTON: Wiem. To niczemu nie przeszkadza.

DRAKE: Zresztą ty też nie wierzysz, że on jest niewinny.

MILTON: Blair jest komunistą, dlatego jesteś do niego uprzedzony.

DRAKE: Nie lubię komunistów, przyznaję, lecz to nie ma nic wspólnego z moim postępowaniem. Przynajmniej staram się, żeby to na mnie nie wpływało. Powiadam ci, tym razem nie wygrasz.

MILTON: Za mało jeszcze wiemy, żeby tak twierdzić.

DRAKE: To swoją drogą. Ale po co się okłamywać? Jak się nad tym zastanowisz, to przyznasz mi rację.

(Na scenę wchodzi Kingsbury. Milton wstaje i wita się z nim. Drake wychodzi)

KINSGBURY *(częstuje Miltona papierosem):* No, zaczynaj. Tylko jeśli w tej samej sprawie, o której mi mówił Drake, to nie mamy o czym...

MILTON *(przerywa):* Jim, musisz mi pomóc.

KINGSBURY: W granicach rozsądku zawsze.

MILTON: Chodzi o Blaira.

KINGSBURY: Wiedziałem. Do widzenia.

MILTON *(przytrzymuje Kingsbury'ego za rękaw):* Musisz mnie wysłuchać do końca. Temu chłopcu trzeba pomóc. Ja nie wiem, czy Blair zabił Bowmana czy nie. Mówię ci o tym szczerze. Osobiście wydaje mi się, że nie. Wprawdzie to, co dotychczas wiemy wskazywałoby, że to jednak on, ale cóż my wiemy? To, co policja raczyła ujawnić łasym na sensację gazetom. A tu chodzi o życie człowieka. Ja, powiadam, jestem mimo wszystko skłonny wierzyć, że Blair jest niewinny. Bo nie mogę zrozumieć, dlaczego miałby go zabić. To nonsens, że chciał się pozbyć niewygodnego świadka na procesie. Nawet gdyby go sprzątnął, to miałby dość oleju w głowie, aby nie robić tego pod własnymi drzwiami. Zresztą na pewno Blair nie jest tak głupi, by sobie nie zdawać sprawy, że to by mu jeszcze bardziej zaszkodziło w oczach tutejszego społeczeństwa.

KINGSBURY: Wniosek?

MILTON: Kto inny zastrzelił Bowmana.

KINGSBURY: Po co?

MILTON: By skompromitować Blaira. Nie zapominaj, że Blair jest komunistą.

KINGSBURY: Ciągle o tym pamiętam. Więc cóż ostatecznie chcesz ode mnie?

MILTON: Jim, jesteś najlepszym prywatnym detektywem. Zajmij się tą sprawą.

KINGSBURY: Nic z tego.

MILTON: Dlaczego, Jim?

KINGSBURY: Sam powiedziałeś: Blair to komunista.

MILTON: Co, u diabła, tobie to przeszkadza?

KINGSBURY: Mnie nic, ale mojej firmie — dużo. Mam najlepsze — nie chwaląc się — i najsolidniejsze biuro poufnych konsultantów w mieście. Czy wyobrażasz sobie, że dla takiego Blaira stać mnie na to, by narażać firmę na szwank? Ludzie mi ufają, nasz business wymaga całkowitego zaufania: ani plamki na opinii. Myślisz, że klienci puściliby mi to płazem? Konkurenci już by się o to postarali, żeby mnie odpowiednio obsmarować i ukraść mi klientelę. Pomyliłeś się. Mnie w tę aferę nie wciągniesz.

MILTON: Ależ tu chodzi o życie człowieka.

KINGSBURY: Bardzo dobrze. Znajdź sobie kogo innego, mnie zostaw w spokoju.

MILTON: Dobrze zapłacę.

KINGSBURY: Nie rozumiesz, że tu nie chodzi o pieniądze? Pieniędzy mam dość i gdyby to była jaka inna sprawa, gdybyś się chciał na przykład rozwieść z żoną i potrzebowałbyś dowodów zdrady, służę gratis. Znamy się od lat. Ale w tym wypadku muszę patrzeć własnego nosa. Bardzo mi przykro.

MILTON: To twoje ostatnie słowo?

KINGSBURY: Ostatnie.

MILTON: Więc rzeczywiście nie mamy o czym gadać. Bardzo cię przepraszam, że zająłem ci tyle czasu.

KINGSBURY: Głupstwo. Dla ciebie zawsze go znajdę. *(wychodzi)*

(Na scenę wchodzi Drake)

DRAKE: Porozumiałem się z Clarkiem. Zgadza się.

MILTON: Clark?

DRAKE: Wiem, że to nie najlepszy wybór, ale skoro nikt inny się nie zgadza.

MILTON: Przekazałeś mu nasze dane?

DRAKE: Tak. Będzie szukał tej dziewczyny i tego mieszkania, gdzie Blair jakoby był. Poza tym będzie u żony Bowmana.

Kurtyna

Odsłona II

(Scena przedstawia ten sam gabinet. W gabinecie znajduje się Milton i Trilling)

MILTON: Okey, rozmawiajmy. O co ci chodzi?

TRILLING: Będziesz bronił Blaira?

MILTON: Tak.

TRILLING: Nie radzę ci.

MILTON: Nigdy się ciebie nie pytałem o radę.

TRILLING: Wiem, ale tym razem byłoby lepiej, gdybyś mnie posłuchał.

MILTON: Czemu?

TRILLING: Bo ci dobrze życzę.

MILTON *(krzycząc):* Słuchajcie! Słuchajcie!

TRILLING: Nie masz żadnej szansy wygrania tego procesu. Skończysz się jako adwokat w tym mieście.

MILTON: Jak to mam przyjąć? Jako groźbę?

TRILLING: Nie bądź głupi. Wiesz, że mnie o to nie trzeba posądzać. Po prostu nie chciałbym, żebyś źle skończył. Jesteś młody, zdolny, możesz daleko zajść. Ludzie już zaczynają o tobie źle mówić.

MILTON: Jacy ludzie, Trilling? Ci, którzy o tobie mówią dobrze?

TRILLING: Ludzie nie lubią komunistów i morderców przy tym. Ja ich też nie lubię. Nam tu żadnych wywrotowców nie trzeba.

MILTON: Trilling, dlaczegoś z tym przyszedł do mnie? Przecież nie przypuszczałeś chyba, że mnie przestraszysz?

TRILLING: Nie miałem zamiaru cię straszyć. Chciałem ci tylko przemówić do rozsądku.

MILTON: Zbyt nagła jest ta twoja troska o mnie. Co cię tu przyniosło? Pogadajmy otwarcie.

TRILLING: Nie dowierzasz mi. Wyobrażasz sobie, że mnie tu ktoś nasłał. Nie potrafisz zrozumieć, że kieruje mną zwykła zawodowa solidarność.

MILTON: Ta rozmowa trwa już za długo, nie sądzisz?

TRILLING: Może.

MILTON: Myślę, że najlepiej będzie, jak zapomnimy o tym, żeśmy się dzisiaj widzieli.

TRILLING: Okey. Masz ostatnie słowo. *(Wstaje i idzie ku drzwiom. Już w drzwiach odwraca się w kierunku Miltona):* Milton.

MILTON: Co?

TRILLING: Myślisz, że potrafisz tego chłopca ocalić?

MILTON: Tak.

TRILLING: Na złego konia postawiłeś.

MILTON: Moje pieniądze.

TRILLING: Pewnie. Ale przegrasz. Chcesz się założyć?

MILTON: Idź do diabła. Zresztą poczekaj. O ile chciałeś się założyć?

TRILLING: O dolara. Będę miał dwa. Powieszę je sobie nad biurkiem.

MILTON. Dobra. Przyjmuję. A jak wygram, to ty sam mi go oprawisz w ramkę.

TRILLING: Okey. Good bye. *(wychodzi)*

(Na scenę wchodzi Drake)

DRAKE: Poszedł?

MILTON: Prędzej nawet, niż się spodziewał.

DRAKE: Co chciał?

MILTON: Przyszedł mnie ostrzec.

DRAKE *(gwiżdże z wrażenia):* Nie boisz się?

MILTON: Czego?

DRAKE: Ta sprawa cuchnie. Kiedyś nam obydwóm mordy skują.

MILTON: Przesada.

DRAKE: To nie jest zwykłe morderstwo; Trilling rozdmucha wszystko i zrobi ze sprawy wielką aferę polityczną.

MILTON: Gazety już to robią, ale jakoś damy radę.

DRAKE: Może. Ale ja nie chciałbym skończyć z przetrąconym kręgosłupem. *(Słychać dzwonek telefonu).*

MILTON *(podnosi słuchawkę):* Hallo. Co?... Nie może pan?... *(po dłuższej chwili):* Więc pan też się już przeląkł?... Mniejsza o to. Good bye. *(odkłada słuchawkę).* Clark. Zrzeka się. *(z ironią):* Wczoraj nie był dokładnie zorientowany, bo wrócił z urlopu, ma dużo roboty i bardzo mu przykro, ale musi się zrzec tej sprawy. Wesoło, co? I co teraz? To dopiero początek, a już wszyscy robią w portki. Jak tak dalej pójdzie, to i sprzątaczka się któregoś dnia nie stawi do pracy, bo się będzie obawiała, że ją przed komisję antyamerykańską zawezwą. Wygląda na to, że musimy się tym sami zająć. *(wstaje i wkłada kapelusz):* Jeśli by mnie kto potrzebował, wrócę za godzinę.

Kurtyna

AKT II

Odsłona I

(Scena przedstawia przyjemnie urządzony pokój. Jest w nim stół, kanapka, foteliki, mały kredens. Dużo kwiatów. Widać, że mieszka tu kobieta. W chwili podniesienia kurtyny pokój jest pusty. Po chwili słychać dzwonek i odgłos otwieranych drzwi, a następnie na scenę wchodzi Jane i Milton).

JANE *(patrzy w milczeniu na Miltona).*

MILTON: Nazywam się Milton. Jestem adwokatem. Chciałbym z panią zamienić kilka słów.

JANE: Proszę.

MILTON: Czy zna pani dziewczynę o nazwisku Jill Hudson?

JANE *(po chwili):* Nie.

MILTON: Niepotrzebnie się pani mnie boi.

JANE: Nie boję się. Powiedziałam wyraźnie: nie znam jej.

MILTON: Bardzo mi zależy na odszukaniu jej.

JANE: Powiedziałam: nie znam jej.

MILTON: Pani wyjeżdżała w zeszłym tygodniu, prawda?

JANE: A bo co?

MILTON: Przez ten czas Jill Hudson zajmowała pani mieszkanie.

JANE: Nie znam żadnej Jill Hudson i nikt w czasie mojej nieobecności nie przebywał w moim mieszkaniu. Nie odstępuję mieszkania obcym ludziom.

MILTON: Jill Hudson nie jest dla pani obcą osobą.

JANE: Nie znam jej.

MILTON: Czy pani czytała w gazetach o Normanie Blair?

JANE: Czytałam i mogę pana zapewnić, że nie miałam z tym nic wspólnego.

MILTON: Od tego, czy znajdziemy Jill Hudson, może zależeć jego życie...

JANE: Nie mam zamiaru pomagać Blairowi. Dostanie to, na co zasłużył.

MILTON *(siadając na krześle):* Pani pozwoli?

JANE *(porywczo):* Dlaczego pan mnie prześladuje? Kim pan właściwie jest? Detektywem?

MILTON: Adwokatem. Jestem obrońcą Blaira, który siedzi w więzieniu i czeka na rozprawę. Pani mu może pomóc.

JANE: Kiedy ja naprawdę nic nie wiem.

MILTON: Dlaczego się pani boi ze mną rozmawiać?

JANE: Nonsens, dlaczego miałabym się bać?

MILTON: Panno Swanson, od lat jestem adwokatem i zdążyłem poznać wielu ludzi. Nie trzeba być profesorem psychologii, żeby zauważyć, iż pani aż oczy na wierzch wychodzą ze strachu.

JANE: Niech pan stąd odejdzie.

MILTON: Ktoś panią nastraszył, ktoś pani zabronił mówić o Jill Hudson. Ale musi pani zrozumieć: moim obowiązkiem jest pomóc Blairowi. Jeśli jest niewinny, ja to muszę przed sądem udowodnić. Blair twierdzi, że w nocy dwudziestego trzeciego był z Jill Hudson w pani mieszkaniu. Pani ją zna, prawda?

JANE *(po dłuższej chwili):* Znam. Czy ja nie będę miała z tego powodu jakichś nieprzyjemności?

MILTON: Była u pani policja?

JANE: Tak. Powiedzieli, że Blair to komunista i nie trzeba mu pomagać. I że jeśli pisnę słówko komukolwiek, postarają się o to, by mnie zwolniono z pracy. Jakby pan postąpił na moim miejscu?

MILTON: Czy pozwoliłaby pani, żeby z powodu pani milczenia skazano niewinnego człowieka na śmierć?

JANE: Blair jest komunistą.

MILTON: Komunista to też człowiek, tylko ma inne od pani poglądy polityczne.

JANE: Jeśli coś powiem i zostanę na bruku, nigdzie nie znajdę żadnej pracy. Nie mam zamiaru zdychać z głodu.

MILTON: Nikt nie musi wiedzieć, że pani ze mną rozmawiała. Idzie tylko o to, żeby pani m n i e powiedziała, czy Jill Hudson była wtedy w pani mieszkaniu. I jeszcze to, gdzie ją można odszukać.

JANE: No więc dobrze, niech pan mnie już więcej nie męczy. Jill była u mnie. Wiem, bo zostawiła mi karteczkę.

MILTON: Ma pani jej adres?

JANE: Zwykle pisałam na adres jej agenta teatralnego, *(bierze torebkę, otwiera ją i po chwili wyjmuje z niej karteczkę, którą daje Miltonowi).* Oto on.

MILTON *(bierze karteczkę):* Niech się pani niczego nie boi. Nikt się nie dowie.

JANE: A jeśli się mnie będą pytali?

MILTON: Może pani powiedzieć, że chciałem od pani wydusić pewne informacje, ale pani milczała.

JANE: Myśli pan, że uwierzą?

MILTON: Porządnie panią nastraszyli, więc chyba uwierzą. Na myśl im nie przyjdzie, żeby im się mógł kto sprzeciwić. Czy wspominali moje nazwisko?

JANE: Wspominali.

MILTON: Przypuszczali zatem, że wcześniej czy później do pani dotrę. A zatem wiedzą, że zeznania Blaira nabierają cech prawdopodobieństwa. Wygląda diablo na to, że Blair jest niewinny. Coraz bardziej się o tym przekonuję. Czy mogę skorzystać z telefonu?

JANE: Proszę.

MILTON: *(Podchodzi do telefonu, bierze słuchawkę i nakręca numer):* Drake? Słuchaj, wyślij natychmiast depeszę na następujący adres: Jill Hudson, San Francisco, czterdziesta dziewiąta ulica 894. Niech natychmiast przyjeżdża. Koszty podróży i wszelkie wynikłe stąd straty pokryję. Tak... Cześć! *(odkłada słuchawkę).*

No, nie będę już pani dłużej męczył. Do widzenia. I jeszcze raz bardzo pani dziękuję *(żegna się i wychodzi).*

Kurtyna

Odsłona II

(Scena przedstawia dość skromnie i ubogo urządzony pokój w mieszkaniu Bowmana. Przy drzwiach stoi pani Bowman i Milton)

MILTON: Pani Bowman?

BOWMAN: Tak.

MILTON: Nazywam się Milton, prawdopodobnie pani o mnie słyszała.

BOWMAN: Słyszałam.

MILTON: Czy mógłbym z panią porozmawiać?

BOWMAN: Nie.

MILTON: Rozumiem, że pani może

być niemiło widzieć mnie przed sobą, jednak mimo to chciałbym, żeby mi pani udzieliła kilka minut swego czasu.

BOWMAN *(wskazuje ręką na krzesło)*: Proszę, niech pan spocznie. Słucham pana.

MILTON *(siada)*: Jak pani wiadomo, reprezentuję przebywającego w tej chwili w areszcie śledczym Normana Blaira.

BOWMAN: Czy musi pan koniecznie wymawiać to nazwisko?

MILTON: Nie przyszedłem tu, żeby panią dręczyć. Wypełniam tylko mój obowiązek i pani, której przecież również zależy na wykryciu prawdy, powinna mi to ułatwić.

BOWMAN: Czy tu jest jeszcze co do wykrycia?

MILTON: Blair nie zabił pani męża.

BOWMAN: Kto zabił?

MILTON: Nie wiem. Czy pani mąż miał jakichś wrogów?

BOWMAN: Blaira.

MILTON: Mniejsza o niego.

BOWMAN: Ja przynajmniej o żadnych nie wiem. Tego wieczora, kiedy mojego męża... kiedy męża spotkał ten wypadek, Blair był tutaj i pytał się o niego.

MILTON: Wiem o tym. A czy mogłaby pani powiedzieć, co tego samego wieczoru chciał pani mąż od Blaira?

BOWMAN *(nerwowo)*: Mój mąż zaplątał się w bardzo nieprzyjemną historię z Wigginem, pracownikiem Trillinga.

MILTON: Co ma Wiggin z tym wspólnego?

BOWMAN: Wiggin go zmusił do zobowiązania się, że w czasie procesu Blaira mąż wystąpi przeciwko niemu.

MILTON: Tego nie wiedziałem. Ale to może rzucić bardzo ciekawe światło na niektórych ludzi. Niech pani mówi dalej.

BOWMAN: Mąż popełnił straszny błąd zgadzając się na propozycję Wiggina, ale innego wyjścia nie miał. Może, gdyby był chciał... Tak czy owak, całą rzecz można było jeszcze naprawić, bo niedawno umarła moja siostra w innym mieście, i tam można się było przenieść i rzucić to wszystko. Prosiłam męża, żeby się spotkał z Blairem i wszystko mu opowiedział, a potem żeby poszedł do Wiggina i kategorycznie oświadczył, że odmawia dalszej współpracy.

MILTON: Zaczynam pewne rzeczy rozumieć. Jak to się stało, że Wiggin miał taki wpływ na pani męża?

BOWMAN: Szantaż. Zagroził mu, że jeśli się nie zgodzi, to go zwolnią z pracy.

MILTON: Czy gdyby zaszła potrzeba, zgodziłaby się pani powtórzyć to wszystko przed sądem?

BOWMAN: Nie.

MILTON: Dlaczego?

BOWMAN: Jestem teraz sama z dzieckiem. Nawet gdybym wyjechała do innego miasta, łatwo mnie dosięgnąć. Boję się. Niech pan tego ode mnie nie wymaga. Ja mam dziecko, które muszę wychować. Dziecko potrzebuje matki i spokojnego życia.

MILTON: Czy umowa między Wigginem, a pani mężem była ustna, czy pisemna?

BOWMAN: Mąż podpisywał jakieś papiery.

MILTON: Kiedy?

BOWMAN: W zeszłym roku, kiedy zwalniano ludzi z fabryki. Męża nie zwolniono, bo Wiggin interweniował... Czy pan także jest komunistą?

MILTON: Nie. Ja tylko szanuję prawdę.

Kurtyna

Odsłona III

(Scena przedstawia gabinet Miltona. W gabinecie znajduje się Milton i Drake)

DRAKE: Jill Hudson przysłała depeszę, że przyjeżdża. Dzisiaj powinna tu być.

MILTON: A czego się dowiedziałeś o Wigginie?

DRAKE: Wiggin przybył tu z prowincji, gdzie pracował w policji miejskiej. Skompromitował się biorąc łapówki. Wyrzucono go wówczas z policji. Przyjechał tutaj i teraz współpracuje trochę z Trillingiem, trochę z policją i FBI. Najlepszym jego przyjacielem jest Jimmy Stevenbrook, właściciel jednego z nocnych lokali. Wieczór, w którym został zabity Bowman, Wiggin spędził u Stevenbrooka. Lokal był tego dnia zamknięty, tak że był tam jeszcze tylko pianista i śpiewaczka, która od tego czasu przestała tam pracować.

MILTON: To ciekawe. Znasz ich nazwiska?

DRAKE: Tak. Jenny Sanford i Stanley Mailler.

MILTON *(podniecony)*: Stanley Mailler? A ja właśnie dostałem list od niego. Słuchaj. *(Bierze z biurka kartkę i czyta)*: „Szanowny panie! W sprawie, która pana niewątpliwie zainteresuje, chciałbym się z panem spotkać dziś o dziewiątej w barze „Orchidea". Stanley Mailler". Trzeba będzie pójść. Zdaje się, że sprawa się wyjaśnia. *(spogląda na zegarek)*. Jeszcze jest trochę czasu. Masz popołudniowe gazety?

Drake: Tak nawet nie zdążyłem ich jeszcze przejrzeć. *(Wyjmuje z płaszcza gazety i podaje je Miltonowi, który zaczyna je wertować.*

MILTON: *(wertuje gazety i mruczy do siebie)*: Oczywiście, jak zwykle. Nic tylko komuniści. **(nagle podniecony zrywa się z krzesła)**: Drake!

DRAKE: Co się stało?

MILTON: Jill Hudson... Nie żyje... Wypadek samochodowy... Przyjechała przed południem i od razu po wyjściu z dworca...

DRAKE: Do diabła! Teraz to już i ja zaczynam wierzyć, że ten twój Blair jest niewinny! Wypadek samochodowy! Właśnie ją!

MILTON: Chyba nie wierzysz, że to przypadek!

(w tej chwili słychać zza sceny okrzyki gazeciarzy: NOWA ZBRODNIA KOMUNISTÓW).

MILTON: Znowu coś. I to wszystko przed procesem. Przynieś gazetę.

DRAKE: *(wychodzi i po chwili wraca z gazetą)*: Twoja randka w „Orchidei" już nieaktualna. Stanley Mailler nie żyje!

(Na scenę wchodzi Gloria)

GLORIA: Przyszła panna Sanford.

DRAKE: Prosiłem ją, by przyszła tu, chociaż wątpię, czy coś z niej wydobędziesz.

MILTON: Niech ją pani poprosi, panno Glorio.

GLORIA *(wychodzi)*

JENNY: *(wchodzi)* Dzień dobry. Pan mnie wzywał.

MILTON: Tak. Proszę siadać.

JENNY *(siada)*

MILTON: Chciałem z panią porozmawiać o bardzo ważnej sprawie. *(podaje Jenny zdjęcie)*. Czy pani kiedykolwiek widziała tego człowieka?

JENNY *(Bierze zdjęcie i nie przypatrując mu się nawet, odpowiada)*: Nie.

MILTON: Pani tak szybko odpowiedziała, że jestem pewny, iż nie zdążyła się pani nawet dobrze przyjrzeć zdjęciu.

JENNY (zmieszana): Przypatrzyłam mu się.

MILTON: I?

JENNY: Nigdy w życiu go nie spotkałam.

MILTON: Okey. Ten człowiek, to Bowman. Słyszała pani kiedyś to nazwisko?

JENNY: Czy ja muszę odpowiadać na te wszystkie pytania. Nie jestem na śledztwie i naprawdę nie wiem, jakie pan ma prawo mnie wypytywać.

MILTON: Do niczego nie mogę pani przymusić. Ale apeluję do pani sumienia, żeby pani jednak zechciała mi pomóc. Chodzi o życie człowieka.

JENNY: Słucham więc.

MILTON: Człowiek na zdjęciu, które pani tak prędko odsunęła od siebie, nazywa się Bowman. Został zabity dwudziestego trzeciego września o godzinie kwadrans po jedenastej. Czy pani zna Wiggina?

JENNY *(wahająco)*: Znam.

MILTON: Pani pracowała w „Rainbow Club", prawda?

JENNY: Śpiewałam tam.

MILTON: Kiedy widziała pani ostatnio Wiggina?

JENNY: Nie pamiętam.

MILTON: A co pani robiła dwudziestego trzeciego września wieczorem, dokładnie mówiąc piętnaście po jedenastej.

JENNY: Byłam na balu uniwersyteckim.

MILTON: A przedtem była pani w klubie?

JENNY: Tak, ale wyszłam stamtąd wcześnie.

MILTON: Czy pani wie, że Stanley Mailler został zabity?
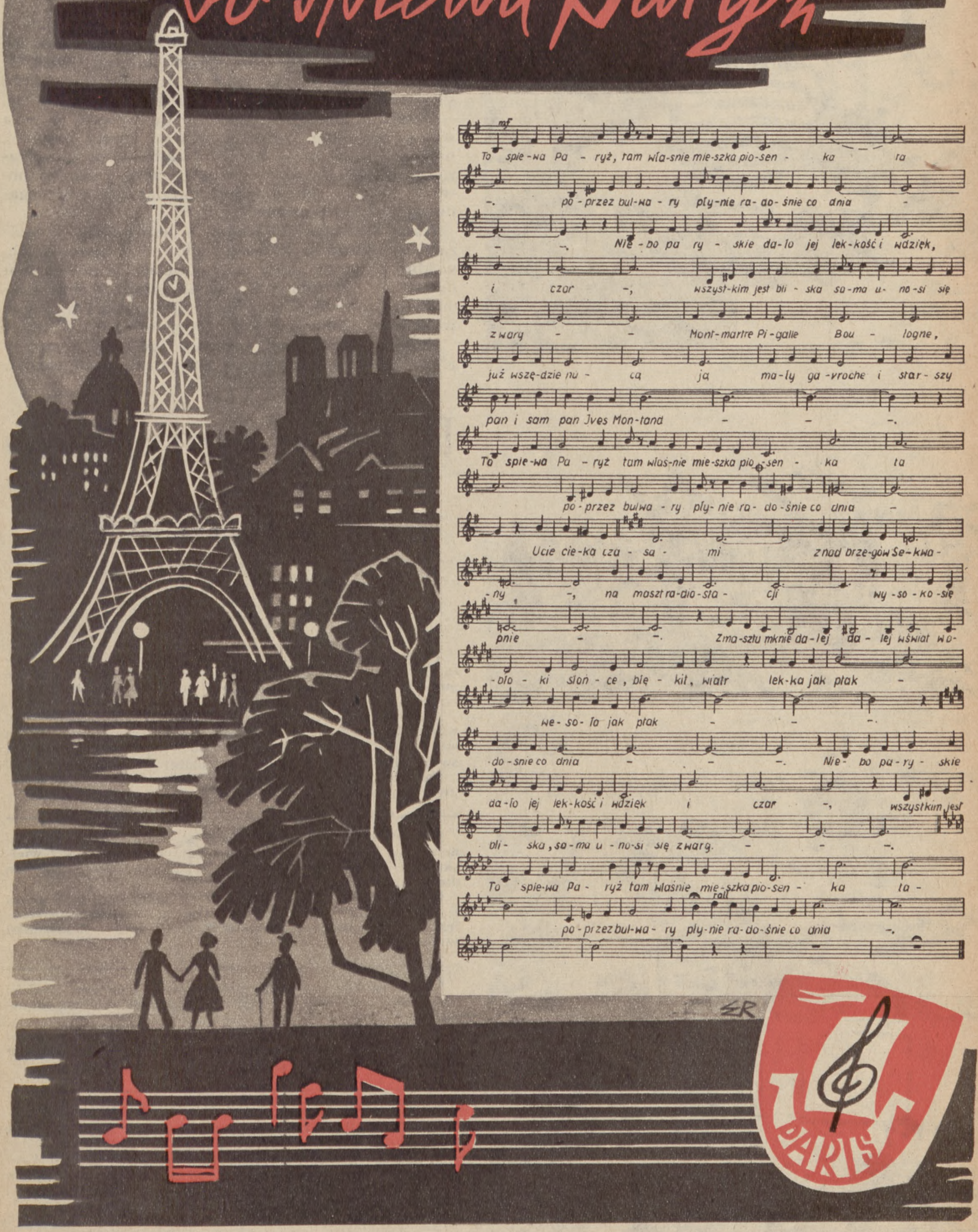
JENNY: Wiem.

MILTON: A czy pani wie, dlaczego go zastrzelono? Bo chciał ze mną rozmawiać. Bo miał mi coś ważnego do powiedzenia. Ale Mailler zginął. Zamknięto mu usta. Umarli milczą. *(po chwili)*. Może więc pani zamiast Maillera powie mi, co zdarzyło się w klubie dwudziestego trzeciego września o jedenastej piętnaście? Przecież pani wie o tym, prawda?

JENNY: *(ukrywa twarz w dłoniach)*

dalszy ciąg na str. 18

To śpiewa Paryż





W poprzednim numerze poświęciliśmy uwagę naszym młodym przyjaciołom węgierskim, a przede wszystkim ich kulturze narodowej.

Tym razem przenieśmy się do naszych sąsiadów ze wschodu. Napiszemy kilka słów o pracy naszych radzieckich kolegów z bratniej organizacji DOSAAF.

Założenia i cele DOSAAF w Związku Radzieckim są pokrewne zadaniom Ligi Przyjaciół Żołnierza.

DOSAAF rozwija i ugruntowuje szczere uczucia wdzięczności dla wojska, rozwija sporty obronne, prowadzi szkolenie w kołach i klubach specjalistycznych. Dotychczasowe wyniki pracy są bardzo poważne. Każdy rok, a nawet miesiąc przynosi organizacji DOSAAF nowe osiągnięcia.

Nasze koleżanki i koledzy z dosafowskiej organizacji zdobywają w klubach radiowych i motorowych, w klubach strzeleckich i aeroklubach, w kołach modelarskich, szkutniczych i wielu innych, cenne wiadomości, które obok rozwijania zamiłowań i uzdolnień wydatnie pomagają w pracy zawodowej.

Często organizowane ciekawe wystawy i pokazy obrazują całokształt prac i osiągnięć „dosafowców".

Wśród naszych przyjaciół z ZSRR



W organizacji DOSAAF szeroko rozwija się modelarstwo lotnicze. Przy każdym prawie aeroklubie istnieją sekcje modelarskie, wzrasta także ilość samodzielnych kół modelarskich.

Modelarstwo w Związku Radzieckim popularne jest wśród młodzieży oraz starszych. Na corocznych defiladach lub pokazach modeli latających, obok dorosłych, prezentują swoje modele liczne zastępy młodzieży w wieku szkolnym.

Na zdjęciu uczestnicy wszechzwiązkowych zawodów w roku ubiegłym.



Niemniejszym powodzeniem niż w mieście cieszy się modelarstwo lotnicze na wsi. Dziewczęta i chłopcy z kół wiejskich mają również poważne osiągnięcia, które dają im dużo zadowolenia.

Członkowie koła DOSAAF przy kołchozie im. Feliksa Dzierżyńskiego SSR przygotowują się po całorocznym szkoleniu do zdawania egzaminów z teorii lotu i konstrukcji szybowca.

Liczne są również koła modelarstwa wodnego. Wśród młodzieży radzieckiej niemało jest zwolenników szkutnictwa.

Zdjęcie przedstawia członków klubu DOSAAF w Jarosławlu, którzy podczas zajęć, z wielkim zainteresowaniem słuchają wykładowcy, zapoznającego ich z budową łodzi.

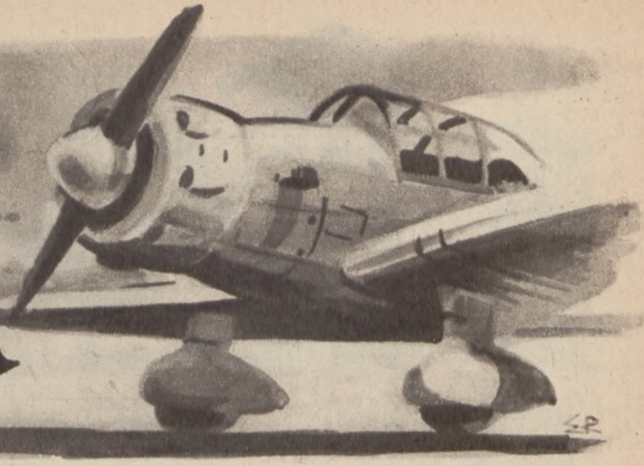


Tysiące członków stowarzyszenia opanowuje łączność radiową, telefoniczną i telegraficzną w kołach i radioklubach DOSAAF.

W szeregach radioamatorów niemało jest młodych konstruktorów, których najlepsze prace wystawiane są na corocznych wystawach obwodowych i centralnych.

Na zdjęciu radioamatorzy przy urządzaniu amatorskich radiocentrów.

Święto lotnictwa



SAMOLOT

EWA SZELBURG - ZAREMBINA

Podnieś głowę do góry, a nuże!
Patrz, nad nami samolot tam w górze!
Prześliczny, mądry, ptak, stworzony przez człowieka
ze stali i z drzewa.

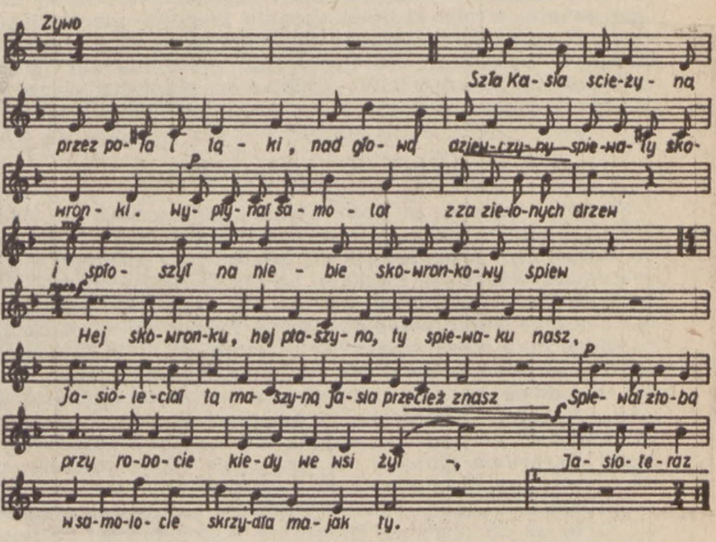
Słyszysz, jak motor w nim śpiewa?
Widzisz? Coraz dalej i dalej odfruwa.
Ledwo już w chmurach lśni...
Dziś jeszcze będzie on w dalekim kraju,
w którym nie będę ani ja, ani ty

i — obcym ludziom, których my nie znamy,
zaniesie od nas wieść,
że ich, jak braci serdecznie kochamy,
że dla ich pracy mamy cześć!



SKOWRONKI

Słowa: M. DOŁĘGA Muzyka: W. ŁUTOSŁAWSKI

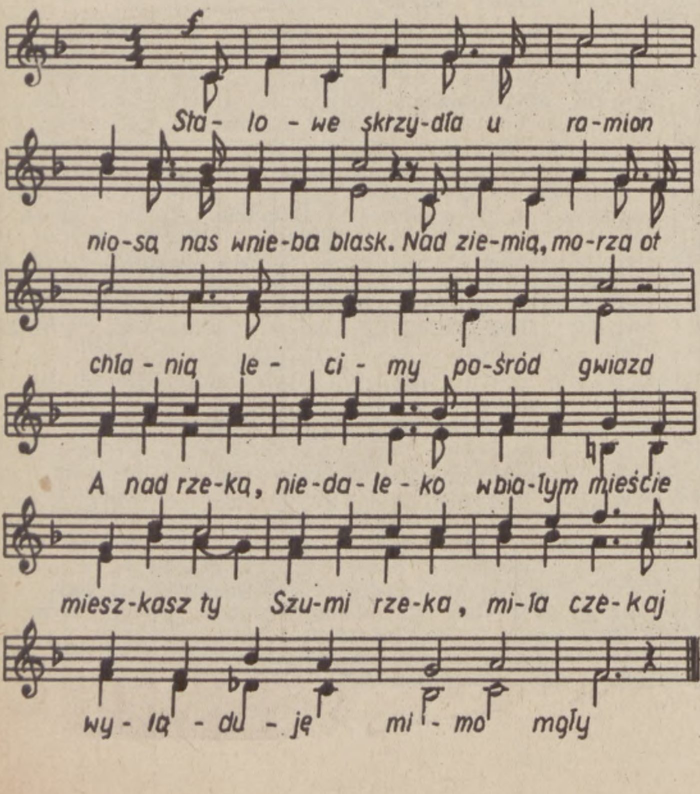


Śpiewał z tobą przy robocie,
kiedy we wsi żył,
Jasio teraz w samolocie —
skrzydła ma jak ty.

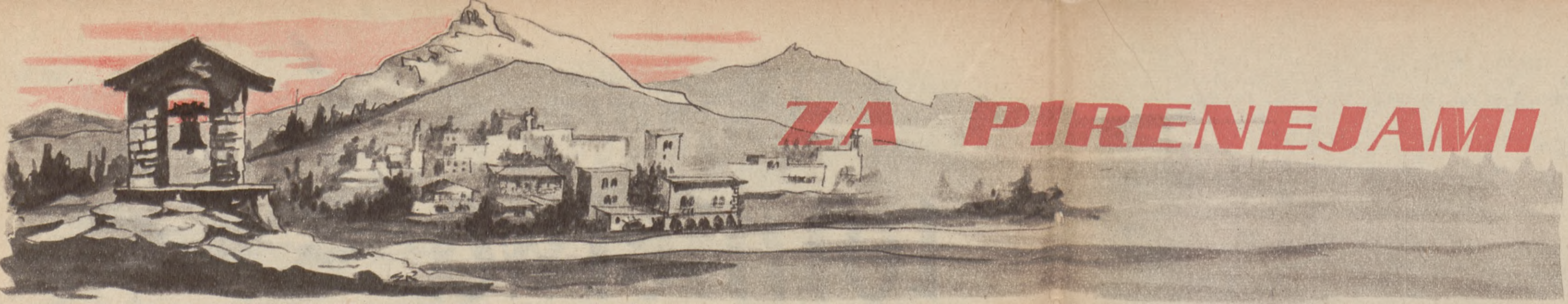
Uśmiechną się oczy,
Jasieńku, do ciebie,
chce serce wyskoczyć
do ciebie na niebie.

Żebyś ty, skowronku,
serce zanieść mógł
ku jasnemu słonku.
do Jankowych dróg.

NASZE SKRZYDŁA







ZA PIRENEJAMI

Mija dwadzieścia lat od lipca, gdy faszystowscy oficerowie hiszpańscy pod wodzą generała Franco podnieśli bunt przeciwko republikańskiemu rządowi. Rozpętała się krwawa, bez mała trzy lata trwająca, wojna domowa. Polityka „nieinterwencji Francji, Anglii i innych państw kapitalistycznych z jednej strony, jawne poparcie zbrojne przez Mussoliniego i Hitlera z drugiej — umożliwiły faszystowskiemu generałowi zagarnąć władzę. Chociaż z pomocą ludowemu rządowi i narodowi hiszpańskiemu śpieszyli ochotnicy z całego świata, wśród których szeroko wsławili się Polacy, dowodzeni przez legendarnego generała Waltera - Świerczewskiego — upadła młoda Republika, niezdolna żar gorących serc narodu przeciwstawić stalowemu potokowi pancernych dywizji i eskadr samolotów.

TROCHĘ ROMANTYKI

Francuzi mówią, że poza Pirenejami zaczyna się Afryka.
Jadąc koleją żelazną, której linia prowadzi z Port — Boû do Barcelony, posuwasz się czytelniku nad morzem, a potem przecinasz wąski pas falistego wybrzeża, które od reszty kraju oddzielają dość wysokie, skaliste wzgórza. Trochę dalej na południe linia przebiega przez żyzne doliny Llobregatu i innych mniejszych rzeczułek, wpadających do morza Śródziemnego. Niewątpliwie jest to najpiękniejsza część Katalonii. Uprawne ogrody, winnice, gaje oliwne... ruiny zamków... Schludne i malownicze wioski i miasteczka, po czym znów jak okiem sięgnąć, ciągną się ogrody i gaje... Dopiero przed Barceloną zmienia się krajobraz. Coraz częściej czerwień zabudowań fabrycznych i osiedli robotniczych.

Barcelona. Długi bulwar, wysadzony platanami, ciągnie się od portu aż do plaza de Catalûnia. Najciekawszą częścią jest Rambla de flores, w której ogrodnicy wystawiają na sprzedaż tysiące pięknych kwiatów — krzewów egzotycznych, rzadkich okazów południowej flory, ujętych w wonne bukiety, lub wetkniętych pojedynczo w wazony. Od portu oddziela miasto pas rozległych i starannie utrzymanych skwerów i gazonów, wśród których ogromne palmy i drzewa pomarańczowe tworzą długie, cieniste aleje.

Madryt po gorączkowym dniu nieprędko kładzie się spać. Do późna w noc mieszkańcy stolicy zalegają ulice i bulwary, młodzież i dorośli siadają na poręczach kamiennych mostów, albo wprost na chodnikach, zażywając chłodu.

Wyżyna kastylijska, pośród której leży Madryt, nie sprawia jednak przyjemnego wrażenia. Kraj ten dość wysoko położony, gdzieniegdzie przecięty niskimi wzgórzami, prawie zupełnie bezleśny, jest słabo zaludniony. Zrzadka rozrzucone wioski, składające się zwykle z niewielu nędznych i szarych lepianek, z odległości nie dają się odróżnić od równin piaszczystych i spalonych. Nawet większe miasteczka otoczone starym, walącym się murem, wyglądają zdala jak skały popękane i rozsypujące się. Wszystko zlewa się w jedną całość szarą i bezbarwną tak, że kraina ta, szczególnie w miesiącach letnich, sprawia wrażenie pustyni i daje zupełnie uzasadniony przedsmak Afryki. Dokuczliwe, szalone wichry, które w miesiącach zimowych wieją nieustannie od gór Gûadarrama, w lecie zaś od równin i wzgórz piaszczystych odbijająca fala spiekoty — dają się mocno we znaki mieszkańcom. Pomiędzy niską a wysoką temperaturą prawie nie ma przejścia, tak, że mieszkańcy Madrytu mają właściwie dwie pory roku — 9 miesięcy zimy i 3 miesiące piekielnych upałów.

Tu w Hiszpanii na tysiąc lat przed naszą erą zakładali swoje kolonie Fenicjanie, Grecy i Kartagińczycy. Z górą przed dwoma tysiącami lat rozpoczął się podbój tego kraju przez Rzymian i powolna romanizacja prowincji. Tu, wzdłuż doliny Ebru, posuwały się dumne centurie, zakute w żelazo. Kraj ten pamięta najazdy plemion germańskich i Maurów. Dziś jeszcze spotkać można liczne ślady dawnych zdobywców. Oto stare miasto Toledo w prowincji o tej samej nazwie, dawna stolica emirów arabskich. Rozsiadłe na wysokiej skale, prawie zewsząd oblanej wodami Tagu, wygląda niby średniowieczna warowna twierdza. Dookoła grube mury, zaopatrzone w strzelnice, a w dole groźnie rysuje się potężny alkazar oraz szereg prześlicznych wież w stylu mauretańskim. Samo miasto przedstawia splątany labirynt wąskich i małych uliczek, gdzie po obu stronach każdej duszą się wysokie domy. Uliczki są tak wąskie, że można, jak mówi Jean Montiel, uścisnąć rękę sąsiadomi z przeciwka. Jedne pną się ku górze, inne nagle spuszczają się na dół i giną na zakręcie, lub pod arkadą w poprzek wzniesionej budowli. W całym Toledo nie ma jednej szerszej ulicy i tylko wyjątek pod tym względem stanowi plac targowy, zwany Zacodover. Domy mocno zaniedbane, zewsząd zionie ubóstwo, typowe dla miast Bliskiego Wschodu. Na pozór nie różnią się one od domów ludzi zamożnych. Na zewnątrz ta sama szarość, za to w środku ogromna zmiana. Wewnątrz znajdują się wspaniałe dziedzińce, wyłożone marmurem i okolone prześliczną kolumnadą o delikatnych, koronkowych łukach i sklepieniach. W środku dziedzińców znajdują się pod troskliwą opieką krzewy egzotycznych kwiatów i wodotryski, które ochładzają powietrze i bezustannym szmerem kołyszą do marzeń.

...I SZCZYPTA REALIZMU

Jaki to piękny kraj, ta Hiszpania, według kolorowych prospektów biur turystycznych. Oto, co czytamy w jednym z takich pisemek, obliczonych na zagranicznych turystów: „Come to sûnny Spain! Tak wiele znaleźć możecie w Hiszpanii! Plaże i walki byków, wioski i winnice, stare mury miast i strzeliste ceglaste zamki, katedry, pałace; jedne z najwspanialszych galerii obrazów na świecie. Wesołe tańce, procesje... Blaski słońca na białych murach. Dojrzałe, słodkie pomarańcze, zrywane prosto z drzewa. Wieczory, które o północy jeszcze są młode."

Gdy, czytelniku, pędzisz przez ten kraj pośpiesznym pociągiem, którego luksusowe wagony z jedną tylko klasą pierwszą wyposażone w ostatnie zdobycze techniki, (klimatyzacja, radiofonizacja itd.), zapewniają ci maksimum wygód i przyjemności, wydaje ci się on cudowną feerią, obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie. Miejscowa jednak ludność w większości jeździ pociągami, rozwijającymi najwyżej 30 km. na godz., gdzie wagony mają III klasę. Wagony takie nie są podzielone na przedziały, natomiast są gęsto wypełnione drewnianymi ławkami. Wśród podróżnych następuje zbliżenie i poufałość, śpiewa się wspólnie piosenki, zawsze znajdzie się gitara, chleb, wino i owoce, a przy nich familijny nastrój. Stary Baskijczyk wyjmie z zanadrza prymitywny flet, „chistû", i zagra rzewnie smutną piosenkę.

Prosty lud hiszpański, obojętnie, czy to z wysokich gór Baskowie ,czy mieszkańcy krajów Andaluzji, Katalonii, Kastylii, Aragonii, wszyscy oni mają niełatwe życie. Hiszpania to kraj przeżytków feudalnych: wielkich posiadłości ziemskich i latyfundiów, dzierżaw o charakterze średniowiecznym. W liczbie około 4 milionów robotników rolnych zaledwie nieco więcej niż pół miliona ma stałą pracę, a więc ponad 3 miliony robotników rolnych jest sezonowymi bezrobotnymi. Ci, którzy pracują na roli, otrzymują nędzne zbiory. Brak nawozów i nawodnienia prowadzi do wyjałowienia ziemi. Nic więc dziwnego, że chłopi rezygnują często z dalszej uprawy. Całe wioski są porzucane przez mieszkańców, którzy udają się do miast w poszukiwaniu pracy. Ale tu znów nie łatwo znaleźć zajęcie, gdyż są tysiące bezrobotnych pośród miejscowej ludności.

Wystarczy przejechać się na peryferie Barcelony, Bilbao czy Walencji, aby zetknąć się z nędzą.

W śródmieściach buduje się wille i pałacyki, od których białych murów odbija się, jak od zwierciadła, słoneczny blask, buduje się luksusowe hotele dla zagranicznych gości, gdy tymczasem mieszkańcy przedmieść żyją w niskich, jednoizbowych ruderach, których tekturowe dachy, aby ich wiatr nie zerwał, przyciśnięte są ciężarem kamieni. Nory te, a nie mieszkania, przypominają schrony, ponieważ częściowo są wkopane w ziemię oraz przykryte starymi deskami lub falistą blachą.

W jednej z książek pisarza hiszpańskiego XIX wieku jest takie zdanie: „soy ûn cuadro de tristera Arrimada a la parad" (jestem wizerunek smutku ustawiony pod ścianą"). Jak bardzo, niestety, zdanie to pasuje do życia współczesnego w kraju Cervantesa.

Przed drzwiami bud i ruder, za którymi, gdy noc nadejdzie, gnieżdżą się całe rodziny, w dzień przedwcześnie zniszczone kobiety czuwają nad ciemnoskórymi, obszarpanymi dziećmi. Malcy bawią się i tarzają w rynsztoku. Starsze grzebią po śmietnikach w pogoni za resztkami pożywienia. W Barrio Chino, tej stolicy nędzy i głodu, nierzadkie są obrazki, jak biedni ludzie kupują za ostatni grosz zgniłe owoce, skórki od sera, odpadki... Trzeba przecież żyć!

Na ulicach parami przechadzają się powolnym krokiem policjanci w szarych mundurach. Pełno też ściągniętej z okolicznych miejscowości milicji w czerwonych, trójgraniastych kapeluszach i z karabinami przez ramię. Oto obrońcy porządku publicznego.

CORRIDAS DE TORROS

Wolno jest na ringu bokserskim w określonym czasie bić przeciwnika w określone miejsca, wolno też chyba tolerować powolne pastwienie się człowieka nad zwierzęciem. Walki byków, *corridas de torros*, są narodową rozrywką hiszpańską. Krew leje się obficie: koni, byka, czasami *banderilleros*. Kilkanaście tysięcy mężczyzn i kobiet, zgromadzonych amfiteatrze, szaleje z podniesienia; grzmot oklasków, piski, wycia, obłęd w oczach.

Na arenę wypuszczają zwierzę. Przez chwilę oślepione blaskiem dziennym i zdziwione tak licznym zgromadzeniem ludzi stoi ogłupiałe i niepewne. Ale już dopadają doń *picadoros* i *banderilleros*, drażnią, kłują, podniecają do walki. Widownia też się dołącza. Zewsząd rozlegają się głosy: Fûego! Fûego! Podbiegają do byka zapaśnicy i wbijają w cielsko *banderille*. Są to umajone chorągiewkami ostre lance, zaopatrzone w eksplodujące naboje, które pod wpływem ruchu zwierzęcia wybuchają i drażnią świeże rany. Byk podskakuje wysoko z bólu, rzuca się na prześladowców. Ci zręcznie uskakują i znów wbijają banderille. Walka przeciąga się. W końcu wkracza na arenę torreador i zręcznym uderzeniem szpady kładzie kres walce. Wtedy na trybunach zrywa się burza oklasków, lecą w górę kapelusze i laski. Najbardziej namiętnie zachowują się kobiety: z roziskrzonym wzrokiem głośno perorują, rozkładają ręce, jakby chciały uściskać zwycięzcę, wymachują wachlarzami w jego stronę. Ot, swoisty kult zręczności i krwawych jatek.

CAUDILLO I JEGO OPORA

Dziś Franco rządzi Hiszpanią. Pod jego dyktaturą kraj przeżywa jeden z najbardziej ponurych okresów swojej historii. Szaleje otwarty terror najbardziej reakcyjnych kast hiszpańskich. Klika faszystowska stanowi narzędzie wielkich posiadaczy ziemskich, związanych z kapitałem amerykańskim, bankierów i monopolistów, którzy opierają się na wyższych warstwach armii, zaufanego aparatu Falangi i hierarchii kościelnej. Reżim faszystowski rozpętał przeciwko masom ludowym terror i bezlitosne represje. Nie istnieją prawa zrzeszania się i zebrań, wolności prasy i słowa.

(d. c. na str. 25)



dalszy ciąg ze str. 12

MILTON: W najbliższy piątek rozpoczyna się proces. Znajdą się dziesiątki świadków, którzy będą świadczyli przeciw Blairowi. Wszystko sprzysięgło się, żeby tego niewinnego człowieka skazać na śmierć. A przecież Blair nie zabił Bowmana. Ja o tym wiem, pani o tym wie. I pani jest jedyną osobą, która go może uratować przed krzesłem elektrycznym. To nie jest sprawa łatwa, wiem. Ale ja wierzę, że pani nie zawiedzie człowieka, którego chcą niewinnie skazać na śmierć. Zrobi to pani?

JENNY: *(cicho)* Ja już sobie pójdę.

MILTON: Proces rozpoczyna się w piątek. Będzie na panią czekał mój samochód. Proszę pamiętać: od pani decyzji zależy życie niewinnego człowieka.

JENNY *(po dłuższej chwili milczenia)*: Do widzenia. *(wychodzi)*

MILTON: Jeśli pozostały w niej resztki sumienia, to przyjedzie.

DRAKE *(zdenerwowany)*: Słuchaj...

MILTON: Co?

DRAKE: Wycofuję się z tego interesu.

MILTON: Nie rozumiem.

DRAKE: Wycofuję się z tego interesu. Dosłownie. Mam tego dość.

MILTON: W dalszym ciągu cię nie rozumiem.

DRAKE: No, wysiadam. Zmieniam posadę.

MILTON: Nie chcesz u mnie pracować?

DRAKE: Nie. Nie chcę u ciebie pracować

MILTON: Strach cię zjada?

DRAKE: Tak. Strach mnie zjada. Najpierw Jill Hudson, potem Stanley Mailler, a teraz kolej na któregoś z nas. Nie chcę ryzykować.

MILTON: Pracujemy nad tym od pewnego czasu i prawdopodobnie zdążyłeś sobie wyrobić zdanie o całej historii. Czy według ciebie Blair jest winny czy niewinny?

DRAKE: Niewinny.

MILTON: Jesteś co do tego przekonany?

DRAKE: Teraz to już tak.

MILTON: I mimo to przestraszyłeś się i chcesz wysiadać?

DRAKE: Tak. Nie mam zamiaru nadstawiać głowy.

MILTON: Jesteś świnia.

DRAKE: Nie, jestem tchórzem, ale nie świnią. Mam dopiero dwadzieścia siedem lat i chcę żyć.

MILTON: A ja nie chcę żyć, co?

DRAKE: Ty masz przekonania.

MILTON *(naciska dzwonek)*

GLORIA *(wchodzi na scenę)*

MILTON: Panno Glorio, czytała pani dzisiejsze gazety?

GLORIA: Czytałam, zawsze czytam gazety.

MILTON: To pani o zabójstwie Maillera wie, prawda?

GLORIA: Wiem.

MILTON: A o zabójstwie Jill Hudson też pani wie?

GLORIA: Przecież to był wypadek samochodowy.

MILTON: No, niech będzie. I co pani na to wszystko?

GLORIA: Czy Mailler miał jakiś związek z panem Blairem?

MILTON: Oczywiście. Nie przestrasza to pani?

GLORIA: Dlaczego miałoby mnie przestraszyć?

MILTON: Drake powiada, że...

DRAKE *(przerywa)*: Milton!

MILTON: Drake powiada, że teraz będzie kolej na jednego z nas. Nie boi się pani ze mną pracować?

GLORIA: Czasem, szczerze mówiąc, mam chwile strachu. To wszystko jakieś dziwne, pogmatwane.

MILTON: Bardzo słusznie, panno Glorio. Zupełnie panią rozumiem. Może wobec tego chciałaby się pani zwolnić? Ja bym dla pani znalazł inną posadę. No co? Chciałaby się pani przenieść gdzie indziej?

GLORIA: Nie.

MILTON: To źle, panno Glorio, bardzo źle. Pani powinna się przenieść do innego pracodawcy. U mnie niebezpiecznie. Powinna się pani trzymać z daleka ode mnie. Powinna pani ukrywać przed znajomymi, że pani u mnie pracuje. Pani wie, jak mnie w mieście nazywają?

GLORIA: Wiem. Czerwonym adwokatem.

MILTON: I co? Nie boi się pani? Nie chce pani „wysiadać"?

GLORIA *(kiwa przecząco głową)*

MILTON: To wszystko, panno Glorio. Dziękuję.

GLORIA *(wychodzi)*.

DRAKE: Nie powinieneś był tego robić.

MILTON: Dlaczego? Chciałem się tylko przekonać, czy ona też nie ma zamiaru uciekać. Chciałem jej to ułatwić.

DRAKE: Nie powinieneś był tego robić. To nie moja wina, że jestem taki jaki jestem. Ja chcę...

MILTON *(przerywa)*: Wiem, chcesz żyć.

DRAKE *(wstaje)*: Lepiej, jak już sobie pójdę.

MILTON: Szczęść Boże!

DRAKE *(idzie w kierunku drzwi i przy drzwiach zatrzymuje się)*: Sorry. Nie myśl o mnie źle. *(wychodzi)*

MILTON *(siadą przy biurku i głowę ciężko opiera o dłonie)*.

Kurtyna

AKT III

Odsłona I

(Scena przedstawia salę sądową. Na wprost widowni siedzi sędzia. Po lewej i prawej stronie sceny prokurator — Trilling i obrońca — Milton. Na ławie oskarżonych, znajdującej się w pobliżu Miltona, siedzi Blair. Przy brzegu sceny znajduje się podium dla świadków. W chwili podniesienia kurtyny słychać przemówienie prokuratora).

TRILLING: Na podstawie materiałów dowodowych, które tu przedstawimy, prokuratora udowodni ponad wszelką wątpliwość, że dnia dwudziestego trzeciego września o godzinie jedenastej piętnaście Wiktor Bowman poniósł śmierć z ręki Normana Blaira, którego tu oto widzicie. *(wskazuje na Blaira)*. Postaram się teraz przedstawić wam okoliczności, w jakich doszło do morderstwa, oraz jego przyczyny. Jak nam wszystkim wiadomo, Norman Blair miał stanąć w najbliższym czasie przed sądem oskarżony o działalność antypaństwową. W sprawie tej Wiktor Bowman miał jako świadek strony oskarżenia zaświadczyć, czy Norman Blair rzeczywiście działał na szkodę naszego ustroju demokratycznego. Wiktor Bowman, podobnie jak Blair, był członkiem partii komunistycznej, lecz jako lojalny obywatel naszego kraju postanowił z nią zerwać. W dodatku, żeby w swym własnym sumieniu się zrehabilitować, postanowił wystąpić jako świadek przeciwko Blairowi. Gdy Blair dowiedział się o zamiarach Bowmana nie pozostało mu nic innego, jak pozbyć się niewygodnego świadka. Dokonał tego dnia dwudziestego trzeciego września. Jakie okoliczności towarzyszyły zabójstwu? Blair zadzwonił do Bowmana i prosił, żeby się z nim skontaktował. O godzinie jedenastej spotkał się z nim przed swoim domem. Wyciągnął rewolwer i zupełnie z bliska oddał do niego dwa strzały. Następnie, ogarnięty przerażeniem, lub po prostu paniką, rzucił rewolwer na ziemię i uciekł. Po kilku godzinach wrócił przed dom. Po co? Po to, by zabrać rewolwer, wyrzucić go gdzieś i dopiero potem wrócić do domu. Zamiar ten jednak został pokrzyżowany czujnością naszej policji, która złapała Blaira w momencie, gdy usiłował rewolwer ukryć. W czasie śledztwa Blair wyparł się winy, nie przedstawił jednak żadnych dowodów swej rzekomej niewinności. Przedstawię tu materiały dowodowe, które ponad wszelką wątpliwość udowodnią winę oskarżonego. Na podstawie tych dowodów oraz zeznań świadków, których przed was powołamy, będziecie mogli, panie i panowie, wyrobić sobie właściwy sąd o zbrodni Blaira, ujrzeć ją w całej ohydzie i wydać wyrok, jaki prawo dla tego rodzaju zbrodni przewiduje. A prawo przewiduje karę śmierci. Jakiekolwiek mogą być wasze osobiste uczucia, pamiętajcie, że cała ludność naszego stanu patrzy na was i oczekuje takiego wyroku, który ustrzeże nasze społeczeństwo od osobników w rodzaju Normana Blaira. Tym wyrokiem może być jedynie i wyłącznie kara śmierci. *(siada)*

SĘDZIA: *(do Miltona)*: Czy zechce pan teraz złożyć swoje wstępne oświadczenie, panie Milton?

MILTON: Nie, Wysoki Sądzie. Zaczekam aż do chwili, kiedy przed przysięgłymi staną świadkowie obrony.

Sędzia *(do Trillinga)*: Proszę wobec tego wezwać pierwszego świadka oskarżenia.

(Światło na scenie na chwilę przygasa i znów się rozjaśnia. Na podium dla świadków znajduje się pani Bowman, której głos słychać już w trakcie podnoszenia kurtyny),

BOWMAN *(w trakcie podnoszenia kurtyny)*: Piętnaście lat.

TRILLING: Kiedy pani widziała męża ostatni raz?

BOWMAN: Dwudziestego trzeciego września o dziesiątej. Potem mąż wyszedł. Poszedł spotkać się z panem Blairem.

TRILLING: Umówił się z nim czy jak?

BOWMAN: Pan Blair dzwonił przedtem, że chciałby się z nim zobaczyć.

TRILING: Gdzie i kiedy?

BOWMAN: O jedenastej i u siebie w domu.

TRILLING: Czy jego wyjście panią zaniepokoiło?

BOWMAN: Tak:

TRILLING: Dlaczego?

BOWMAN: Wiedziałam, że mąż ma wystąpić przeciw panu Blairowi w procesie.

TRILLING: I obawiała się pani, że jeśli Blair się o tym dowie, męża może spotkać jakie nieszczęście?

BOWMAN: Tak.

(Światło na scenie przygasa i za chwilę znów się rozjaśnia. Na podium znajduje się świadek).

TRILLING: Co panu wtedy zakomunikował Blair?

ŚWIADEK: Że dowiedział się, iż Wiktor Bowman jest w partii człowiekiem FBI, i należy go zlikwidować.

TRILLING: A dlaczego właśnie panu mówił o tym?

ŚWIADEK: Byłem w posiadaniu rewolweru, który przywiozłem z sobą z wojska.

TRILLING: I oskarżony chciał, żeby mu pan tego rewolweru użyczył?

ŚWIADEK: Tak. Ale ja odmówiłem, bo byłoby to niezgodne z moim sumieniem. W końcu jednak Blair zagroził, że jeśli mu nie odstąpię rewolweru, to i ze mną może być źle, więc cóż miałem robić? Ustąpiłem. Nie miałem po prostu innego wyboru. Mam żonę i dziecko... Poszliśmy do mnie i tam dałem mu ten rewolwer.

(Światło na scenie przygasa i znów się rozjaśnia. Na podium znajduje się Wiggin).

MILTON: Czy współpracuje pan z policją i Federalnym Biurem Śledczym?

WIGGIN: Tak.

MILTON: Jako co?

WIGGIN: Jako ekspert.

MILTON: Co to znaczy? Ekspert od czego?

WIGGIN: No, dostaję od czasu do czasu specjalne żądanie do przeprowadzenia.

MILTON: Na przykład? Zbieranie informacji o pewnych ludziach?

WIGGIN: Tak.

MILTON: O komunistach?

WIGGIN: Też.

MILTON: Chyba nie „też", a przede wszystkim o komunistach. Gdzie pan przebywał wieczorem dwudziestego trzeciego września?

WIGGIN: W domu.

MILTON: Nie był pan przypadkiem w Rainbow Club?

WIGGIN: Nie.

MILTON: Tak, że Maillera i Jenny Sanford pan tej nocy nie widział?

WIGGIN: Jak mogłem widzieć, skoro byłem w domu.

MILTON: Racja, bardzo poprawna logika, panie Wiggin. Czy z racji swych obowiązków eksperta od komunizmu zajmował się pan kiedy osobą Bowmana?

WIGGIN: Zajmowałem się nim swego czasu, ale ostatnio już nie.

MILTON: O, to już jest coś. Czy dwudziestego trzeciego września wieczorem o jedenastej piętnaście nie spotkał pan czasem Bowmana w Rainbow Club.

WIGGIN: Nie, ja... *(przerywa, patrząc przerażony na wchodzącą właśnie Jenny Sanford, która wchodzi na scenę w eleganckim, ale mocno zabrudzonym płaszczu, z plamą krwi na czole i zabrudzoną twarzą).*

MILTON *(z uśmiechem)*: Dziękuję, pana już jako świadka nie będę potrzebował.

WIGGIN *(ciężko schodzi ze sceny).*

MILTON *(Ujmuje pod rękę Jenny i prowadzi ją na podium):*

Czy może pani odpowiadać stojąc, czy podać pani krzesło?

JENNY: Będę odpowiadała stojąc.

MILTON: Proszę powiedzieć przysięgłym *(wskazuję ręką na widownię)* swoje nazwisko i zawód.

JENNY: Jenny Sanford. Jestem studentką uniwersytetu. Do niedawna pracowałam dodatkowo w „Rainbow Club" jako śpiewaczka.

MILTON: Panno Sanford, dam pani teraz do ręki pewną fotografię. Proszę się jej uważnie przyjrzeć i powiedzieć przysięgłym, czy zdarzyło się pani spotkać w życiu tego człowieka. *(podchodzi do Jenny i wręcza jej fotografię).*

JENNY (bierze fotografię i przygląda się jej): Tak. Spotkałam go.

MILTON: Kiedy?

JENNY: Dwudziestego trzeciego września.

MILTON: Gdzie?

JENNY: W „Rainbow Club".

MILTON: O której godzinie?

JENNY: Kilka lub kilkanaście minut po jedenastej.

MILTON: Czy była pani sama?

JENNY: Nie. Był ze mną Stanley Mailler.

MILTON: Kto jeszcze był w tym lokalu?

JENNY: Właściciel — pan Stevenbrook i pan Wiggin.

MILTON: Gdzie byli panowie Stevenbrook i Wiggin? Na dole, czy u siebie w biurze?

JENNY: W biurze.

MILTON *(zwraca się do publiczności):* Panie i panowie, zdjęcie, które pokazałem pannie Sanford, przedstawia Wiktora Bowmana. Załączam je jako jeden z dowodów rzeczowych. *(podchodzi do stołu, przy którym siedzi sędzia, i kładzie tam zdjęcie, a następnie idzie na swoje miejsce).* A teraz, panno Sanford, niech nam pani powie, skąd się tam wziął pan Bowman?

JENNY: Wszedł przez tylne wejście i dopytywał się o pana Wiggina. Trochę się chwiał na nogach. Pokazaliśmy mu, żeby poszedł na górę.

MILTON: Poszedł?

JENNY: Tak.

MILTON: Co się stało potem?

JENNY: Pan Mailler grał na pianinie, ja zaś śpiewałam nową piosenkę. W pewnej chwili poprzez dźwięk fortepianu dobiegł nas huk, jakby ktoś wystrzelił z rewolweru. Chciałam się zerwać i pobiec na górę, ale Mailler zatrzymał mnie za rękę. Wyrwałam mu się jednak i pobiegłam. Otworzyłam drzwi i...

MILTON: I co pani zobaczyła, panno Sanford?

JENNY: Pana Wiggina. W ręce trzymał rewolwer, a pan Stevenbrook krzyczał na niego: „Ty głupcze, ty przeklęty głupcze!" Na podłodze leżał pan Bowman.

Kurtyna

Epilog

(Scena przedstawia gabinet Miltona. W gabinecie znajduje się Milton, Jenny i Gloria.)

MILTON *(do Jenny):* A teraz niech pani opowiada.

JENNY: Wczoraj zadzwoniła do mnie jedna z moich koleżanek, tak przynajmniej wtedy myślałam, wcale mi do głowy nie przyszło, że głos mógł być czyjś inny. W każdym razie powiedziała, że dostała jakichś potwornych bólów i nie wie, co z sobą począć. Prosiła, żebym do niej zaraz przyjechała. Akurat przed domem stała taksówka. Wchodząc do niej byłam tak podniecona, że nie zauważyłam, iż wewnątrz ktoś siedzi. Otworzyłam drzwiczki i ledwie jedną nogę wsunęłam do środka, gdy taksówka ruszyła. Obcy mężczyzna wciągnął mnie i łapą zakrył mi usta. Krzyczałam, ale nic nie pomogło. Zawieźli mnie na jakieś podwórze i wprowadzili do mrocznego pokoju. Powiedzieli, żeby się nie rzucać, że pobędę tu tylko kilka dni i że mnie wypuszczą. Ale w nocy uciekłam. Pokój był na pierwszym piętrze. Spuściłam się na dół po rynnie i przyleciałam do sądu.

GLORIA: Szczęście, że pani zdążyła na czas.

MILTON: A ja muszę jutro iść do Trillinga i zainkasować wygranego dolara.

JENNY: Muszę już iść. *(wstaje)*

GLORIA: Pójdziemy razem. *(wkłada kapelusz, żegna się wraz z Jenny z Miltonem i obie wychodzą).*

MILTON *(wychodzi za nimi i po chwili wraca w szlafroku. Siada przy biurku i zaczyna czytać książkę).*

Po kilku chwilach drzwi bezszelestnie się otwierają i wchodzi przez nie dwóch mężczyzn z rewolwerami wycelowanymi w Miltona. Milton zrywa się z krzesła i jak zahipnotyzowany patrzy na nich. Mężczyźni wolno zbliżają się do niego).

Kurtyna

Wymowa nazw

All right	ol rajt
Blair	Blejr
Bowman	Bauman
Business	byznes
Bye	baj
Clerk	Klerk
Drake	Drejk
Frisco	Frisko
FBI	Ef Bi Aj
Goody bye	Gud baj
Jane	Dżen
Jenny	Dżeni
Jill	Dzil
Jim	Dżim
Kingsbury	Kinsberi
Mailler	Mejler
Okey	okej
Rainbow Club	Rejnbou Klab
Stanley	Stanłej
Stevenbrook	Stiwnbruk
San Francisco	San Francisko
Westheimer	Uesthajmer
Washington Avenue	Uoszinton aweniu



JESZCZE O DAWNEJ BRONI

W skład uzbrojenia zaczepnego wojowników polskich okresu formowania się stosunków feudalnych (VII—XI w.) wchodziły głównie: łuk, oszczep, topór bojowy lub czekan.

Oprócz tego w skład uzbrojenia wchodziły jeszcze: proca, nóż i drewniana maczuga nabijana krzemieniami.

W posiadaniu bardziej możnych wojowników były też miecze obosieczne.

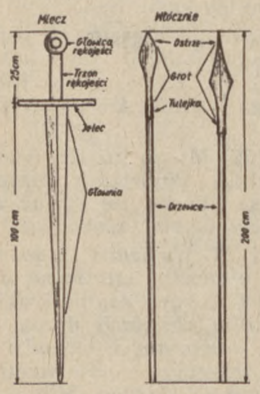
Uzbrojenie ochronne stanowiła głównie tarcza, a następnie zbroja i hełm.

Potwierdzenie, że wojownicy zachodnio-słowiańscy używali do walki łuku, znajdujemy w najdawniejszych źródłach. Łuk (rys. 1) był bronią miotającą.

Składał się on z drzewca i cięciwy, (ze skręconych konopi). Wojownik nosił łuk w skrytce z lipowej kory, która nazywała się łubiem, a później określana bywała czasem słowem „kołczan". Strzały znajdowały się w drugim schowku, który zwał się tułem. Wojownik zawieszał u prawego boku kołczan, a tuł miał przerzucony przez plecy.

Strzały robione były z cienkich prętów drewnianych lub łodyg trzciny. Groty przeważnie były żelazne, bardzo rzadko drewniane.

Obok łuku do najstarszej broni polskich wojowników zalicza się oszczep, zwany także sulicą. Oszczepów używali również wojownicy konni, którzy nazywali je włóczniami. Oszczep (włócznia) składał się z grotu żelaznego i żerdzi, czyli drzewca. Długość jego wynosiła około 2,5 m. Broń ta służyła do rzucania oraz walki wręcz.



Miecz i włócznie polskie z czasów piastowskich.

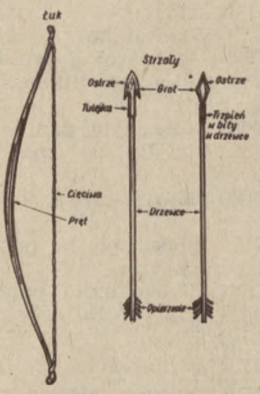
Również do walki wręcz wojownicy polscy używali toporów bojowych i czekanów.

Polski topór bojowy posiadał szerokie, opuszczone ku dołowi ostrze, długość jego wynosiła około 80 cm.

Poza rodzimymi typami topora bojowego, który zdecydowanie przeważał w uzbrojeniu wojowników polskich, w użyciu były także topory obcego pochodzenia oraz czekany.

Czekan stanowił rodzaj toporu z długim, cienkim obuchem, przedłużonym poza otwór dla toporzyska i zakończonym niekiedy gałką.

Bronią zaczepną była również proca (broń miotająca). Proca składała się ze sznura lub rzemienia, w środku którego był mocowany sklęsł — wyrobiony w kształcie miseczki kawał twardej skóry. Do tej miseczki wojownik wkładał kamień, ujmował oba końce sznura i zataczał kilka szybkich kręgów nad głową, po czym wypuszczał z ręki jeden koniec sznura, a kamień dzięki sile odśrodkowej wylatywał w nadanym mu kierunku.



Łuk polski i strzały z czasów piastowskich.

Nóż bojowy był to rodzaj sztyletu o szerokości około 3,5 cm. i długości około 20 cm.

Maczuga był to kij z jednego końca grubszy, zaopatrzony w guzy i karby, ewentualnie nabijany krzemieniami. Pierwszy rodzaj maczug wyrabiało się w następujący sposób: nacinano odpowiednie do tego celu drzewko tak, aby wytworzyło się na nim, po zrośnięciu blizn, jak najwięcej guzów i zgrubień. W celu wyprodukowania natomiast maczugi nabijanej krzemieniami wykłuwano w drzewku otwory, w które osadzano grubszymi końcami kawałki krzemienia. Po ich umocnieniu się drzewko ścinano, a następnie ociosywano miejsce pod rękojeść. Maczugi miały długości nie więcej jak 1 m.

W skład uzbrojenia zaczepnego wojowników możniejszych wchodził też miecz (rys. 2).

Miecz był bronią sieczną i składał się z głowni i rękojeści. Był on zazwyczaj obosieczny i szeroki. Część tnąca, zwana głownią, była płaska lub szlifowana wklęsło. Długość jego była około 1 m.

Uzbrojenie ochronne wojowników polskich stanowiła przede wszystkim tarcza, zwana wówczas szczytem. Używanie tarcz jest potwierdzone licznymi wykopaliskami. Wzmianki źródłowe o używaniu tarcz można znaleźć u pisarzy rzymskich i greckich. Tarcze wykonane były całkowicie z drewna, wikliny czy skóry lub z połączenia tych surowców. W większości były one jednak drewniane, obijane skórą. Najprawdopodobniej środkowa część tarcz była wypukła lub ostro zakończona.

W skład uzbrojenia ochronnego wojowników wchodziły jeszcze zbroje (pancerze) i hełmy. Takie uzbrojenie dostępne było rzecz jasna, wyłącznie wojownikom możniejszym, wchodzącym w skład drużyny książęcej. O używaniu zbroi przez wojowników tego okresu znajdujemy wzmianki w źródłach historycznych. Z relacji Ibrahima ibn Jakuba dowiadujemy się o wojownikach pancernych, którzy wchodzili w skład drużyny Mieszka I. O wojownikach pancernych Chrobrego mówią kroniki: Galla Anonima oraz kronikarza niemieckiego Thietmara.

Najpóźniej, bo dopiero w X wieku, jako część uzbrojenia ochronnego wojowników, pojawia się jeszcze hełm ochrona głowy. Ówczesny hełm miał kształt kopulasty i składał się z czterech miedzianych, niekiedy żelaznych blach, o brzegach wygiętych i umocowanych na pokładzie żelaznym. Dołem biegła obręcz z otworami do zawieszania siatki z kółek, zasłaniających twarz i resztę głowy.

Tak, pokrótce, uzbrojeni byli wojownicy polscy w okresie powstawania na ziemiach polskich stosunków feudalnych.

COLEOPTER samolot przyszłości

Podstawowym wymaganiem, stawianym współczesnym samolotom odrzutowym, jest ich maksymalna prędkość w locie, przy równoczesnej minimalnej prędkości lądowania i startu. Lądowanie i start współczesnych samolotów odrzutowych wymaga specjalnie do tego przygotowanych pasów startowych i lotnisk. Prace konstruktorów lotniczych zdążają zatem do rozwiązania tego problemu na drodze umożliwienia samolotom startu i lądowania pionowego, niezależnego od terenu i przygotowanych pasów startowych, przy równoczesnym zachowaniu ich prędkości maksymalnej.

Założenia powyższe ma spełnić właśnie samolot zw. pierścieniopłatem lub coleopterem. Twórcą jego jest inżynier austriacki Zborowski.

Coleopter posiada skrzydło w kształcie pierścienia — tulei, którego przekrój poprzeczny stanowi profil aerodynamiczny. Wewnątrz tulei mieści się kadłub samolotu, wyposażony w kabinę pilota, ewentualnie urządzenie do zdalnego kierowania i silnik.

W coleopterze mogą być zastosowane wszelkiego rodzaju silniki odrzutowe lub, jak przewiduje się w przyszłości, silniki atomowe. Prócz tego elementami coleoptera są stery aerodynamiczne oraz amortyzatory, służące do lądowania samolotu.

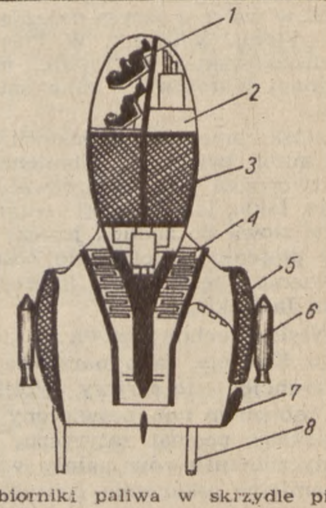
Ciąg silnika, który umożliwi start coleoptera, powinien być 25% większy od jego ciężaru własnego, co leży w granicach możliwości współczesnego przemysłu. W samolotach o skrzydle płaskim (stosowanym we wszystkich współczesnych samolotach) do startu potrzebne jest wytworzenie siły nośnej przez skrzydło w pierścieniopłacie start ten umożliwia ciąg silnika. Dopiero po uzyskaniu odpowiedniej wysokości coleopter nachyla się pod pewnym kątem, co pozwala mu na wytworzenie dodatkowej siły nośnej przez skrzydło pierścieniowe. Przy lądowaniu coleopter podchodzi na wysokość bezpieczną 100 — 200 m., zmniejszając prędkość, po czym ląduje pionowo zmniejszając szybkość przez odpowiednią regulację silnika. Zastosowanie skrzydła pierścieniowego daje następujące korzyści: skrzydło pierścieniowe jest lżejsze od każdego innego typu skrzydła, ma mniejsze gabaryty (rozpiętość), jest pewniejsze w użyciu ze względu na swój kształt oraz tańsze i łatwiejsze w produkcji. Poza tym skrzydło pierścieniowe ze względu na swoją symetrię względem osi podłużnej umożliwia skręt samolotu bez specjalnego wytracania prędkości, co ułatwia sterowanie samolotem.

Do innych zalet samolotu typu coleopter należy wielka szybkość wznoszenia, która w locie pionowym może przekroczyć szybkość dźwięku. Coleopter może uzyskać 15.000 m w ciągu 2 min., podczas gdy wszystkie współczesne samoloty mogą uzyskać tę wysokość dopiero po 5 min.

Zakres prędkości coleoptera wynosi od 0 do prędkości maksymalnej, która może być trzykrotnie większa od prędkości dźwięku. Dalszą zaletą coleoptera jest możliwość startu i lądowania samolotu niezależnie od przygotowania terenu. Przewiduje się stosowanie pierścieniopłatów w charakterze samolotów do obrony przeciwlotniczej, pocisków zdalnie sterowanych kilkakrotnego użycia, samolotów pokładowych na okrętach jako szybkich samolotów łącznikowo-pasażerskich, pocztowych i tansportotowych.

Badania obecne ograniczają się zasadniczo do wykonywania próbnych modeli, studiowania zagadnień dotyczących sterowania i bezpieczeństwa lotu pierścieniopłatów.

Technika pierścieniopłatów jest obecnie w powijakach, ale badania wskazują, że mogą one stać się samolotami przyszłości.



1. Kabina załogi
2. Przyrządy sterowania
3. Zbiorniki paliwa
4. Silnik odrzutowy
5. Zbiorniki paliwa w skrzydle pierścieniowym
6. Rakiety startowe
7. Stery aerodynamiczne
8. Amortyzatory

BALONY - BOMBOWCE

Odkrycie w XVIII wieku balonu powietrznego napawało wielu ówczesnych ludzi strachem: człowiek po raz pierwszy uniósł się w powietrze i ośmielił się rywalizować z ptakiem. I tak np. w roku 1731 rosyjskiego uczonego Krakutnego po wzniesieniu się jego balonu cieplnego chciano spalić. Od śmierci uratowała go ucieczka.

W 52 lata później podobny los spotkał pierwszy wodorowy balon powietrzny paryskiego profesora Charles. Balon opadł niedaleko Paryża i był przyjęty przez miejscową ludność jako wcielenie diabła. Oto jak opisuje ten wypadek jeden z historyków lotnictwa:

„Mieszkańcy byli do tego stopnia przestraszeni widokiem lądującego dziwoląga, z którego unosił się zapach siarki, że kilku z nich, nie mając najmniejszej wątpliwości co do diabelskiego pochodzenia balonu, natychmiast udało się do miejscowego czarownika, prosząc go o dokonanie zaklęcia.

Ale czarownik po przybyciu na miejsce nie odważył się nawet zbliżyć do dziwoląga. W końcu znalazł się jakiś śmiałek, który podszedł do balonu na odległość kilku kroków i oddał strzał z karabinu.

Przebity w wielu miejscach śrutem balon utracił cały gaz; wówczas tłum z wściekłością rzucił się na niego i mszcząc się za wywołany strach przywiązał go do końskiego ogona. Z balonu zostały tylko strzępki".

Jak wiadomo, religia nieodłącznie wiąże zapach siarki z piekłem i jego gospodarzem — diabłem. Ani czarownikowi, ani jego wielbicielom nie było, rzecz jasna, wiadome, że wodór, którym był napełniony balon, zawiera dodatki związków siarki — stąd też myśl o diabelskim wcieleniu.

W 20 lat później, w 1804 roku, francuscy i rosyjscy uczeni zapoczątkowali używanie balonów powietrznych do lotów w celach naukowych. I oto, gdy tylko prysł strach przed balonami, otrzymały one aktywne zadania bojowe. Fakt opisany niżej miał miejsce w 1849 roku.

Niepodległa niegdyś republika Wenecji, znajdująca się wówczas pod uciskiem austriackim, powstała przeciw swym gnębicielom. Wenecjanie pragnęli przywrócić wolność swemu krajowi i byli gotowi bronić jej z bronią w ręku.

Rozmieszczona na wyspach Wenecja okazała się nieosiągalna dla ciężkiej artylerii autriackiej. Pociski wpadały do wody, nie dolatując do miasta. Pomimo znacznej przewagi liczebnej armia austriacka była bezsilna.

Dążąc za wszelką cenę do pokonania Wenecji, Austriacy postanowili wysłać nad miasto papierowe balony powietrzne, zawierające bomby zapalające i burzące.

Bomby były podwieszane na sznurku, który po upływie obliczonego czasu ulegał przepaleniu przez tlący się lont. Pierwsze bombardowanie zakończyło się fiaskiem. Określiwszy kierunek wiatru przy ziemi, Austriacy nie uwzględnili tego, że w górnych warstwach atmosfery strumienie powietrza mogą mieć inne kierunki. W rezultacie pierwsza partia bomb po nabraniu wysokości wróciła z powrotem i wybuchy o mało nie poraziły inspiratorów całej tej historii.

Aby uniknąć podobnych „niespodzianek" Austriacy rozpoczęli wypuszczać balony próbne, ale bombardowanie nie przyniosło im zwycięstwa. Zwyciężyli oni Wenecję tylko dzięki kapitulacji tymczasowego rządu burżuazyjnego, który przestraszył się szerokiego rozmachu ruchu rewolucyjnego mas.

Wykorzystanie przez Austriaków balonów — bombowców nie przeszło niezauważone prze opinię światową, która należycie oceniła to pierwsze w świecie bombardowanie. Na konferencjach międzynarodowych niejednokrotnie podejmowano uchwały, zabraniające wypuszczania balonów powietrznych nad obcym terytorium, a tym bardziej zrzucanie z nich pocisków i bomb burzących.

Czyż trzeba mówić o tym, w jaki sposób po dziś dzień są naruszane podobne międzynarodowe uchwały?

O tych sprawach w ostatnim czasie dużo pisało się w prasie wielu krajów.



JAKUB JASINSKI

(1759 — 1794)

Rozkwit twórczości tego poety przypada na ostatnie lata istnienia Rzeczypospolitej, na lata bezpośrednio poprzedzające III rozbiór Polski. Okres ten charakteryzuje poważne zaostrzenie przeciwieństw klasowych między bogaczami a biedotą, duże nasilenie ruchów chłopskich i wzmożenie aktywności biedoty miejskiej. Walka o swobody społeczne łączy się wówczas nierozdzielnie z walką o niepodległość. Postępowe elementy społeczeństwa starają się drogą powstańczej walki zbrojnej nie dopuścić do ostatecznej utraty niezależności narodowej.

W związku z tą sytuacją obóz postępu wyraźnie różnicuje się, dochodzi do głosu rewolucyjny odłam tego obozu, zgrupowany szczególnie wokół Warszawskiego Klubu Jakobinów, reprezentowany przez takich ludzi jak: ks. Meier, ks. Konopka, Maruszewski, zwolenników radykalnych reform społecznych.

Na fali myśli postępowych rodzi się rewolucyjna literatura końca 18 w., a szczególnie rewolucyjna liryka, anonimowa piosenka uliczna, wyrażająca nastroje szerokich mas. Jedynym znanym poetą rewolucyjnym tego okresu jest Jakub Jasiński. Pochodził on z ubogiej rodziny szlacheckiej. Po ukończeniu szkoły kadetów w Warszawie był przez jakiś czas wychowawcą synów magnata Potockiego. W 1792 roku bierze udział w walce z obcym najazdem i zostaje odznaczony krzyżem „Virtuti Militari". W 1794 roku przewodzi Insurekcji Kościuszkowskiej na Litwie, następnie walczy w obronie oblężonej Warszawy i ginie śmiercią żołnierza na szańcach Pragi.

Jasiński przeszedł do historii literatury przede wszystkim jako autor świetnych, płomiennych wierszy rewolucyjnych, lecz twórczość jego obejmowała również inne rodzaje literackie, takie, jak piosenki sentymentalne i bajki (m. in. ułożył on słowa do znanej, jeszcze obecnie śpiewanej gdzieniegdzie piosenki „Chciało się Zosi jagódek"). W tym krótkim omówieniu, będzie nas interesowała głównie rewolucyjna liryka Jasińskiego.

Krytyka duchowieństwa i nie tylko duchowieństwa, ale całego Kościoła, jako narzędzia feudalnego ucisku, walka o tolerancję — to sprawy wybijające się w poezji Jasińskiego. Problemom tym poświęcony jest bliski „Monachomachii" Krasickiego poemat satyryczny „Sprzeczki". Do podobnych tematycznie utworów należy wiersz „Do Stefana Batorego" — namiętne oskarżenie polityki Watykanu i haniebnej roli Jezuitów w okresie panowania Batorego. W wierszu „Do świętoszka" poeta występuje przeciwko zakłamaniu i obłudzie religijnej, przeciwstawiając im rozum, poczciwość i sprawiedliwość w Sądach.

Wrażliwość na krzywdę ludzką, na niesprawiedliwość społeczną przemówiła z wiersza pt. „Dnia 16 octobra 1787 roku", gdzie poeta nie może pogodzić się z takim porządkiem świata, w którym jedni żyją szczęśliwie, podczas gdy innych „w codziennym trudzie los nieszczęsny gniecie".

Wiersz „Żądanie moje", to ostra satyra na tryb życia szlachty i magnaterii. Występuje tu cała galeria różnych typów ludzkich: próżniaków, karciarzy, utracjuszów, pyszałków, fałszywych świętoszków, sentymentalnych damulek itp.

Do najśmielszych ideowo, wyraźnie rewolucyjnych, najlepiej charakteryzujących postawę polityczną Jasińskiego utworów zaliczamy „O stałości do exulantów polskich", „Do narodu" i „Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI".

Wiersze te pozostają w ścisłym związku z aktualnymi wydarzeniami politycznymi, są one odbiciem rewolucyjnych nastrojów mas, rozszerzających się coraz bardziej w ostatnim pięcioleciu istnienia Rzeczypospolitej.

W wierszu „Do exulantów polskich" poeta apeluje do patriotyzmu polskiego i powołując się na Francję rewolucyjną, jako na ojczyznę wolności, wzywa do walki z carskim najeźdźcą. Jasiński wyraża przekonanie, że sztandarowe hasła Wielkiej Rewolucji: „wolność, równość" zapanują na całym świecie i w walce, w której zginą despoci i tyrani, ludy zerwą pęta ucisku. Poeta wierzy, że wówczas znikną wojny, zapanuje powszechne braterstwo i miłość.



Wiersz „Do narodu" powstał w marcu 1794 roku, czyli bezpośrednio przed wybuchem powstania. Jest on płomiennym wezwaniem ludu do walki nie tylko z wrogami zewnętrznymi, lecz także ze zdrajcami własnego narodu. Podobnie jak poprzednio poeta stawia Francję rewolucyjną, jako wzór i przykład do naśladowania.

„Wiersz w czasie obchodzonej żałoby przez dwór polski po Ludwiku XVI" nawiązuje do wydarzeń, które miały miejsce w Polsce po ścięciu przez francuski trybunał rewolucyjny ówczesnego króla. Wówczas to na naszym dworze ogłoszono żałobę, listy pasterskie potępiały wypadki we Francji i przestrzegały przed niebezpieczeństwem idącym z zachodu.

Na tle takiej atmosfery, gdy władze urabiały opinię publiczną w kierunku antyrewolucyjnym, należy podziwiać odwagę Jasińskiego, który ośmielił się temu przeciwstawić. Można jeszcze dodać, że król Stanisław August wyznaczył 1000 zł. nagrody za wykrycie autora wiersza, który początkowo krążył w odpisach anonimowych.

Na początku utworu poeta dziwi się, że śmierć jednego człowieka mogła wywołać tak wielkie oburzenie, podczas gdy męki i cierpienia milionów ludzi przechodzą bez echa. Dalsza część wiersza, to uzasadnienie i pochwała wyroku francuskiego trybunału rewolucyjnego na króla, który łamał prawa.

Utwór kończy rewolucyjne hasło, „Mówmy, niech zginą króle, a świat będzie wolny!"

Poezja Jasińskiego, to duży rozdział literatury, która rewolucyjnym protestem zamyka pisarstwo Polski niepodległej.



WIERSZ W CZASIE OBCHODZENIA ŻAŁOBY PRZEZ DWÓR POLSKI PO LUDWIKU XVI

Wy, których nowe czucia i sposób myślenia
Ścieśniła sroga przemoc i śmieszne wrażenia,
Co poddan przesądom i w gminnym mniemaniu
Czujecie, jak wam każą, lecz nie w przekonaniu —
Widzę, że w tym momencie na myśli wam stawa

Dziwna z swojej rzadkości, lecz dość prosta sprawa.
Król ścięty! dziw tak rzadki w kronikach ludzkości
Wart zapewne zdziwienia, wart wielkiej litości,
Lecz raczcie się zapytać waszego sumienia,
Czy wart jest w sercach sprawiać tak wielkie wzburzenia?

A gdy człowiek cnotliwy bez winy, bez sądu
Pada ofiarą zemsty, dumy lub przesądu,
Gdy krocie nędznych ludzi od domów, od dziatek
Pędzą na rzeź tyrani, jak bydło do jatek,
Kiedy narodom całym wymyślna chimera

Ostatni kąsek chleba od gęby oddziera —
I czemu wam wówczas owa czułość tkliwa
Łez krwawego wzruszenia z oka nie dobywa?
Te sceny, że was swoim nie rażą widokiem,
Stąd pochodzi, że co dzień macie je pod okiem.

Oto w waszej stolicy, karmni strawą waszą,
Zuchwalcy was wzgardzają i dybami straszą,
Oto niezgodny sąsiad, co was świeżo zdradził,
Z urąganiem na chleb wasz wojska w kraj wprowadził,
A gdy wam wolność, honor, majątki odjęto.

Wy płaczecie, że króla o mil trzysta ścięto!
Polacy, nie nicujmy robót obcych rządów,
Zrzućmy dzikie wrażenia odwiecznych przesądów:
Wszyscy ludzie są równi: czy król, czy poddany,
Jak kto prawu zawinił, tak będzie karany.

Ludwik, gdy śmiercią swoją słuszność zaspokoił,
Niechaj po nim ten płacze, co podobnie broił.
Lecz wy, jeśli w sprawie sędziami być chcecie,
Rzućcie okiem bezstronnym, co się dzieje w świecie:
Oto naród wsławiony na całej ludzkości

Z swych kunsztów, z swej nauki, męstwa i grzeczności,
Zmierziwszy dumę, hańbę i klęski tyrana,
Powiedział: „Chcę mieć króla, lecz nie chcę mieć pana."
Mówił do swego króla: „Lubo, będąc wolny,
Mógłby cię z tronu zrzucić, boś rządzić niezdolny,

Jednak szanując jeszcze niektóre wrażenia
Nic ci nie chcę odbierać prócz mocy gnębienia,
Bądź święty, bądź bogaty, bądź kraju ozdobą,
Lecz ty będziesz nad nami, a prawa nad tobą".
Zdrajca, kiedy w obliczu Boga im przysięgał,

Tajemnie po broń obcą na krew braci sięgał,
Mówcież, jak nie miał naród wchodzić w jego czyny?
Chyba królowie — bóstwa, a ludzie — machiny.
Jeśli, nad sobą władzę królom powierzyli,
Chcieli, by nimi króle podług praw rządzili,

Lecz gdy ci obowiązków swych nie chcą pilnować,
Za cóż ich ludzie mają kochać i szanować?
Albożte miliony ludzi niezliczone
Są dla kilku despotów igraszki stworzone?
Nie ludzie! Czas się wybić z tej grubej podłości,
Chciejmy się lepiej poznać na naszej zacności!

Ludwik zginął, tak chciała krajowa ustawa,
Żałujmy go jak człeka, lecz szanujmy prawa.
Daj Boże, by ten przykład przez mocne wrażenia
Oszczędził nam potrzeby jego powtórzenia,
Lecz jeśli ich poprawić i ten nie jest zdolny —
Mówmy: niech zginą króle, a świat będzie wolny!

od łuczywa do świetlówki

Czy człowiek pierwotny korzystał z dobrodziejstw energii atomowej?

Życie dzisiejsze jest nie do pomyślenia bez należytego oświetlenia domów, ulic, fabryk, kopalń, środków transportowych, teatrów, kin. itp.

Wiemy z własnego doświadczenia, że wyłączenie prądu elektrycznego w godzinach wieczornych może poważnie zakłócić, a nawet zatrzymać normalny bieg naszej pracy i naszych zajęć, a to głównie z uwagi na brak światła. Szukamy wtedy gorączkowo lampy naftowej, czy też kawałka świeczki. Z braku innych środków nawet kawałek łuczywa staje się wtedy drogocennym i poszukiwanym przedmiotem. Doceniając znaczenie nowoczesnych środków oświetlenia w naszym życiu musimy stwierdzić, że światło odgrywa zawsze wielką rolę w życiu człowieka.

Już człowiek pierwotny, mimo swego prymitywnego trybu życia i swych nader skromnych wymagań, nie zadawalał się zwykłym światłem dziennym, jakim ziemię darzy nieustannie słońce, ten ogromny „wulkan atomowy", miliony razy większy od największych stosów atomowych, jakie w naszych czasach zbudowano, względnie buduje się. O rozmiarze i wielkości reakcji jądrowych (atomowych), jakie nieustannie zachodzą w masie słońca, najlepiej świadczy podana niedawno w prasie codziennej wiadomość w związku z pojawieniem się na tarczy słońca nienormalnie dużych plam. Otóż uczeni wyjaśnili, że przyczyną pojawienia się tych plam były reakcje jądrowe w masie słońca o sile wybuchu przewyższającej miliony razy siłę wybuchu bomby wodorowej. — Dzięki takim ustawicznym reakcjom jądrowym dociera ze słońca do ziemi życiodajna energia świetlna, — to nasze światło dzienne.

Wynalazek, czy kradzież tajemnicy ognia?

Powróćmy jeszcze z powrotem do człowieka pierwotnego. Nie ulega wątpliwości, że człowiek pierwotny nie od razu poznał tajemnicę rozniecania ognia. Z chwilą jednak, gdy w takich czy innych okolicznościach, w ten czy inny sposób nauczył się wzniecać ogień, dokonał on odkrycia epokowego, którego znaczenie dla ludzkości nie było chyba mniejsze, niż na przykład odkrycie energii atomowej. Człowiek stał się panem otaczającej go przyrody. Ogień umożliwił mu lepsze przyrządzenie strawy, ogrzanie w dni chłodne, odstraszenie dzikich zwierząt, wykonanie lepszych narzędzi i przedmiotów, oświetlenie jaskini — mieszkania itp.

Piękne odbicie znaczenia poznania tajemnicy ognia przez człowieka znajdujemy w mitologii starożytnych Greków (zbiór podań i opowiadań, nie mający potwierdzenia w faktach historycznych). Otóż według tych nieprawdziwych opowiadań ogień został wykradziony bogom przez Prometeusza, człowieka — bohatera, za co mściwi i strzegący swych tajemnic bogowie srodze go ukarali.

Od łuczywa do świetlówki

Od ognia do łuczywa niedalaka już droga. Podtrzymywanie ogniska wymagało pewnej ilości paliwa drzewnego. Z tego względu wzniecanie ogniska dla celów oświetleniowych było w wielu wypadkach za kosztowne i mało praktyczne. W zamian tego człowiek zaczął używać do oświetlenia suche drewienka, w miarę możności z drzew żywicznych. Takie drewienka — łuczywa spalał osobno. Ze względu na zawartość żywicy paliły się one dłużej. Ponadto można je było swobodnie przenosić. Ten pierwotny sposób oświetlania przetrwał wiele tysięcy lat. Mimo, że w międzyczasie człowiek poznał inne i lepsze, ale przy tym droższe sposoby oświetlania, jak np. pochodnie z palącą się smołą, lampy oliwne, świece woskowe itp., to jednak łuczywo, jako najtańszy i najpowszechniejszy środek oświetlenia, dotrwało aż do czasów, rozpowszechnienia lampy naftowej, to jest do wieku XIX.

Nie trzeba tu chyba dodawać, jak niedoskonałe były wymienione wyżej środki oświetlające. Dlatego człowiek stale poszukiwał lepszych sposobów oświetlenia. Poszukiwania te mogły dać dopiero wtedy większe rezultaty, gdy zaistniały odpowiednie warunki, środki materialne i techniczne. A więc, gdy człowiek nauczył się masowo wydobywać i przerabiać w rafineriach ropę naftową na naftę, benzynę, parafinę, oleje i inne uboczne produkty (XIX wiek), to wtedy dopiero było możliwe rozpowszechnienie lampy naftowej i świec parafinowych.

Mówiąc o lampie naftowej nie sposób jest nie wspomnieć o jej wynalazcy, którym był nasz rodak Łukasiewicz. On to właśnie, pierwszy w świecie, skonstruował lampę naftową i zastosował w niej naftę do oświetlenia.

Jak wiadomo wiek XIX był wiekiem bardzo bujnego rozwoju nauki, techniki i przemysłu. Z tej racji nazwano go wiekiem pary i elektryczności. Nic też dziwnego, że właśnie w tym okresie, obok wspomnianej już lampy naftowej, zastosowego masowo do oświetlenia również inne środki, takie, jak oświetlenie gazowe i elektryczne.

Mówiąc o oświetleniu gazowym mamy na myśli, z uwagi na rozmiar i zakres zastosowania, dwa główne systemy tego oświetlenia, a mianowicie:

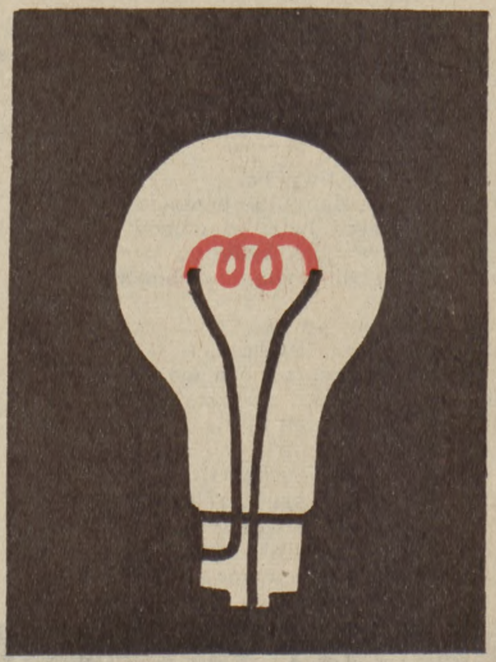
— centralne oświetlenie gazowe przy pomocy gazu świetlnego, dostarczanego przewodami z gazowni, koksowni, pieca hutniczego, czy też z kopalni gazu ziemnego.

— lokalne oświetlenie gazowe przez wytwarzanie gazu w wytwornicach acetylenu (lampy karbidowe), lub przy posługiwaniu się małymi zbiornikami gazu świetlnego (butlami wysokociśnieniowymi) np. w wagonach kolejowych.

Mówiąc zaś o oświetleniu elektrycznym mamy na myśli normalne oświetlenie elektryczne przy pomocy żarówek, wynalezionych przez Edisona, który pierwszy w świecie zastosował prąd elektryczny do oświetlania.

Światło jarzeniowe (świetlówki)

Nie koniec na tym. Oświetlanie elektryczne przy pomocy normalnych żarówek z żarzącym się wewnątrz włóknem metalowym staje się już obecnie przeżytkiem. Zostaje ono wypierane przez oświetlenie jarzeniowe, które jest również oświeleniem elektrycznym, ale opartym na nieco innych zasadach (patrz rys. 1 i 2). Na rys. 1 widzimy normalną żarówkę elektryczną typu „edisonowskiego". Przez drucik metalowy o odpowiednim oporze, umieszczony w szklanej „gruszce", z której wypompowano powietrze, przepływa prąd elektryczny. Prąd ten, napotykając w druciku metalowym na duży opór, traci część swej energii elektrycznej na jego pokonanie. Ta stracona energia uwidacznia się jako energia cieplna (drucik podgrzewa się do wysokiej temperatury) oraz jako energia świetlna (drucik „żarzy się" — świeci i wysyła do otoczenia promienie świetlne — światło).





Na rysunku 2 jest przedstawiona schematycznie światłówka („żarówka" światła jarzeniowego). Jest to rurka szklana wypełniona parami rtęci. Na końcach rury znajdują się elektrody. Pod wpływem napięcia elektrycznego między elektrodami zachodzą wewnątrz rury wyładowania elektryczne, to znaczy wewnątrz rury płynie w gazie prąd, który pobudza parę rtęci do wysyłania promieniowania nadfiołkowego (promieniowanie o charakterze promieniowania świetlnego, lecz niewidzialne dla oka ludzkiego). To niewidzialne promieniowanie nadfiołkowe pobudza do świecenia warstewkę specjalnych substancji, jaką są pokryte ściany rury. Warstewka ta, zależnie od swego składu, może wysyłać światło o różnej barwie. Normalnie dobiera się tak jej skład, aby światło, wysyłane przez nią, było zbliżone do światła dziennego. Przykładowo skład warstewki może być następujący: fosforan kadmu, krzemian cynku, wolframian magnezu.

Okazało się, że w ten sposób zbudowane świetlówki (jarzeniówki) są w porównaniu ze zwykłymi żarówkami elektrycznymi wydajniejsze około 4 razy, to znaczy, że przy pobieraniu tej samej ilości prądu elektrycznego, co żarówki, dają cztery razy więcej światła. A więc dając to samo oświetlenie zużywają 4 razy mniej prądu. Stąd oświetlenie to jest znacznie tańsze, a ponadto bardziej przyjemne dla oka, ponieważ jest bardzo zbliżone do światła dziennego.

Dla porównania podam jeszcze stosunki wydajności do lampy gazowej i lampy naftowej.

Światło jarzeniowe jest wydajniejsze około 30 razy od światła lampy gazowej i około 150 razy od światła lampy naftowej.

Podobnie zbudowane i na podobnej zasadzie działają popularne różnokolorowe rurki świecące, używane do reklam świetlnych i nazywane najczęściej neonami. Rurki te stosownie do wymagań wypełnia się różnymi gazami, dającymi odpowiedni kolor światła. Na przykład rurki wypełnione gazem neonem dają światło pomarańczowo-czerwone, rurki wypełnione neonem i domieszką par rtęci w różnym stosunku — światło niebieskie w różnych odcieniach aż do koloru zielonego itp.

Jak już wyżej podkreślono świetlówki są obecnie najlepszym sposobem oświetlenia i wypierają wszystkie starsze systemy, łącznie z systemem żarówkowym. Nie sądźmy jednak, że taki stan długo potrwa. Mając na uwadze badania jakie są prowadzone w różnych krajach w wielu ośrodkach badań jądrowych nad wykorzystaniem energii atomowej do celów pokojowych, należy przypuszczać, że i w tej dziedzinie energia jądrowa znajdzie szerokie zastosowanie i może wprowadzić rewelacyjne zmiany. Bo musimy tu podkreślić, że tak jak wiek XIX otrzymał miano wieku pary i elektryczności, to wiek XX zaczyna już otrzymywać miano wieku atomowego.

Inż. Franciszek Mucha

ZA PIRENEJAMI

dalszy ciąg ze str. 17

Lud hiszpański burzy się i walczy. W walce tej przewodzi mu nielegalna Komunistyczna Partia Hiszpanii. Kierownik KPH, działająca na emigracji Dolores Ibarruri, powiedziała kiedyś, że lepiej zginąć stojąc niż żyć na kolanach. Rozgorzały wielkie strajki i walka z reżimem faszystowskim, którego filarem jest bogata burżuazja, rządząca przy pomocy armii i hierarchii kościelnej. Krwawe były w roku 1951 strajki w Barcelonie i prowincji Basków, manifestacje madryckie (1953); wciąż bez przerwy mają miejsce ciągłe strajki lokalne i demonstracje przeciw wiernej generałowi Franco Falandze. Opozycja wciąż rośnie.

Gen. Franco sprzągł się z imperializmem, realizując plany kolonizacji Hiszpanii i zamieniania jej w bazę wojskowo-strategiczną obcego mocarstwa. Dnia 23 września 1953 r. podpisany został pakt amerykańsko-hiszpański, na mocy którego hiszpańskie siły zbrojne oddane zostały pod dowództwo sztabu generalnego Stanów Zjednoczonych, a 72 porty i nieuchwytna ilość baz lotniczych w Hiszpanii, w hiszpańskiej części Afryki Zachodniej, na wyspach Balearskich i Kanaryjskich oddane zostały również do dyspozycji wojskom amerykańskim. Niektóre z tych baz zamienione zostały na składy bomb atomowych. Dziś na Placu Hiszpańskim w Madrycie, w Hotelu Plaza, najbardziej luksusowym hotelu na świecie, rozłożył swe biura sztab amerykański.

Buńczuczny caudillo (odpowiednik hitlerowskiego „führer" i włoskiego „dûce") mógł więc sobie pozwolić na chełpliwe stwierdzenie w 1954 r. „jesteśmy najsilniejszym bastionem w walce ze światowym komunizmem".

Franco udostępnił kraj również penetracji zachodnio-niemieckiej. Niemcy zach. przypuściły formalną ofensywę kulturalną i gospodarczą na ten kraj, a nawet dokonują poważnych inwestycji, jak np. budowa w okolicach Madrytu wielkich zakładów lotniczych Messerschmidta. Sam konstruktor, który podczas drugiej wojny światowej dał się mocno we znaki aliantom, otrzymał z rąk generała Franco najwyższe odznaczenie hiszpańskie.

NO PASARAN!

Niewiele pozostało śladu na ziemi hiszpańskiej z czasów wojny domowej. Zarosły leje bomb i mogiły, oczyszczono kraj z ruin i gruzów... Ale trwalsze od tych zniszczeń są rany zadane duszy ludzkiej, których nie zagoi ani czas, ni odmiana losu.

Z nadejściem każdego wieczoru śpiewa o tamtych dniach andaluzyjska dziewczyna z czerwonym kwiatem, wpiętym w krucze włosy.

W dolinie rzeki Ebro, tam, gdzie od maja do lipca 1938 roku, przebiegała linia frontu, wstają duchy poległych żołnierzy i raz jeszcze nastawiając zbroczoną pierś wołają: No pasaran! Nie przejdą! Na kamiennym podłożu zda się grzmi i huczy równy krok milicji antyfaszystowskiej, tak jak ongiś przed wiekami grzmiał krok pod wodzą dumnych centurionów rzymskich.

Wśród dzikich poszarpanych gór pirenejskich, przez stepowa płytę mesety, w szumie bukowych lasów wciąż niosą się nieprzerwanym echem słowa Międzynarodówki śpiewane przez centurie i brygady międzynarodowe:

Arriba, parias de la terra,
En pie, famelica legion;
Atrũena la razom del marcha;
Es el fin de la opresion!

Z żarliwością neofitów, jak najdroższą modltwę, tę pieśń wyklętych i głodnych śpiewali w ojczystych językach ludowi żołnierze hiszpańscy i ochotnicy „brigadas choũqũe".

I dziś, w dwudziestą rocznicę walki z międzynarodowym faszyzmem o wolność młodej Republiki Hiszpańskiej, słowa tej pieśni rozpalają serca patriotów hiszpańskich i tych wszystkich, którzy ukochali wolność. I dziś, jak dwadzieścia lat temu, rozlega się okrzyk komunistów hiszpańskich.

„Adelante, Companeros"
„Naprzód, towarzysze".

(K. L.)



Do WARMII I MAZURACH

Jest piękny zakątek polskiej ziemi, który choć raz ujrzany, wywrze na każdym niezatarte wrażenie.

Zakątkiem tym jest województwo olsztyńskie, ściślej Pomorze Mazurskie, a więc znacznie więcej niż wymieniony obszar administracyjny, bo cała północno-zachodnia część Polski, docierająca na zachodzie do dolnego biegu Wisły i na południu po Puszczę Kurpiowską i Mazowsze. To Warmia i Mazury. Obszar ten winien być pokryty falami morza, gdyż powierzchnia jego, właściwa prastara powierzchnia znajduje się na poziomie od 20 do 125 m poniżej powierzchni wód Bałtyku. Jedynie lodowcom, które przed dwudziestu tysiącami lat posuwały się od Skandynawii, a potem cofnęły, zawdzięczamy, że naniosły tu olbrzymie masy gruzu skalnego, tworzącego obecną konfigurację terenu.

Dziś o Warmii i Mazurach nie mówimy inaczej, jak o kraju tysiąca jezior. W wieńcu łagodnych pagórków, okolone szmaragdowymi lasami małe, niebieskie oczka, owalne i podłużne lub nieogarnięte wzrokiem ciągną się te zielono-granatowe jeziora na przestrzeni dziesiątków kilometrów, związane naturalnymi ogniwami rzek lub sztucznymi kanałami. Nie wysiadając z kajaka można przemierzyć kraj od Ostródy na południu po Elbląb na północy i od Piszu na zachodzie do Węgorzewa na wschodzie. Jezior o powierzchni więcej niż 1 km^2 jest około 200, mniejszych — ponad 2 tysiące. Raz płytkie i przezroczyste, jak kryształ, że dojrzeć można z łatwością poruszające się po dnie ryby, kiedy indziej znów milczące i głębokie, aż strach podnosi włosy na głowie, gdy się pomyśli jaka niezmierzona toń znajduje się pod człowiekiem.

Nie tylko kajaki i łodzie mają tutaj raj. Utrzymywana jest także stała żegluga pasażerska. Odbyta statkiem wycieczka jest wielką przyjemnością. Czyż nie jest nią podróż w Dolinie Wielkich Jezior, gdzie ruch statkami odbywa się od stu lat. Połączenie kanałami od jeziora Śniardwy do Mamry istnieje wprawdzie od roku 1765, ale wówczas arteria ta przeznaczona była do spławu drzewa.

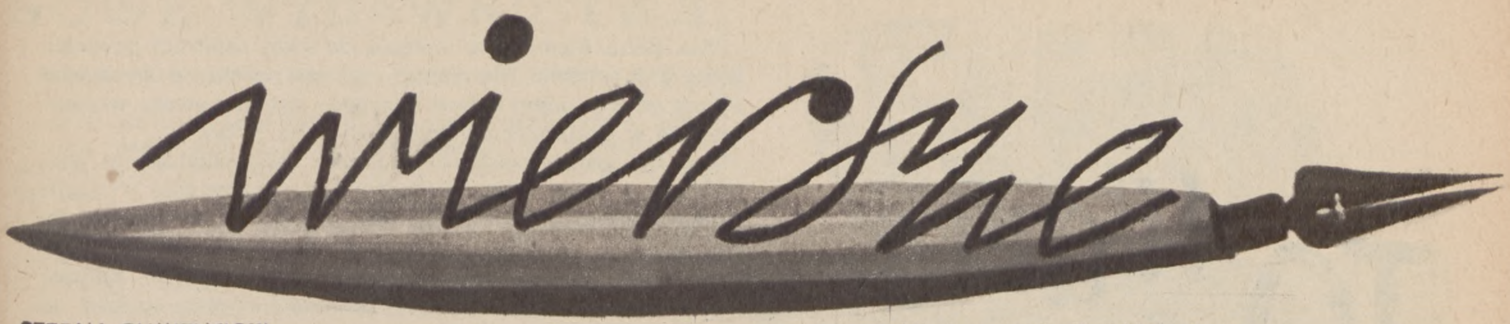
Warmia i Mazury, to cudny kraj. Wśród pagórkowatych wzniesień rwące potoki żłobią sobie koryta, z trudem przełamują się przez twardy grunt, wiecznie myszkują, aż napotkawszy nizinę, toczą pośpiesznie wzburzone fale, jakby się bały, że znowu przyjdzie im z dużym wysiłkiem przedzierać się przez niepodatne moreny. Bieg ich stale kręty i zakośny, nierzadko głębokimi jarami i przełomami. Gdy wydostają się na równiny i rozlewają szerzej swe wody, do brzegów ich zlatują się ze wszech stron zielone lasy i soczyste trawy.

Kraina jezior i rzek, bagien i moczarów, to nie tylko wymarzony teren dla turystów, lecz przede wszystkim raj dla wodnego ptactwa. Spotkać tu można rzadkie dzisiaj w reszcie kraju, jak i w Europie czarne bociany, bardzo rzadkie kormorany, dzikie łabędzie, drapieżne orły, olbrzymie kanie, jastrzębie, sokoły, czaple, głusze i cietrzewie. Zatrzęsienie białych bocianów i dzikich kaczek. Łącznie około 150 gatunków dzikiego ptactwa. W dni jasne od słońca cienie ich bezszelestnie przesuwają się po wygładzonej powierzchni jezior i rzek, a uroczystą ciszę powiększają milczące lasy, gdyż prawie nie ma w nich drobnej śpiewającej ptaszyny. Tylko dołem przemykają się między drzewami, przez polany, pola lub łąki jelenie i sarny, dziki, lisy, rysie, borsuki, gronostaje, zające. Nietrudno natrafić żeremia, nawodne osady bobrów, wzniesione z ziemi, chrustu i pni drzew, ściętych potężnymi siekaczami gryzoni.

Niegdyś kraj ten porastały nieprzebyte puszcze. Dziś jeszcze koło Piszu łatwo pobłądzić i zginąć w rozległym borze. Puszcza Jaśńborska obejmuje ok. 1 tys. km^2. Bogaty jest drzewostan lasów olsztyńskich: strzeliste sosny, wyniosłe jodły i świerki, modrzewie, wiekowe dęby, buki czerwieniejące jesienią, jakby skąpane we krwi, olsze i graby, złociste, powiewne brzozy. W powiecie szczytnyńskim rosną jałowce do 12 m wysokie! Niedaleko Zalewu w okolicach Elbląga buki sięgają do 30 m wysokości, a w obwodzie mają 4 m. W okolicy zwanej Świętym Gajem, będącym rezerwatem tego drzewa, w Kadynach zachował się sędziwy okaz natury. Jest nim okazały, tysiąc lat sobie liczący dąb i choć ma wnętrze wypróchniałe, to jednak korona zieleni się rokrocznie. Tam też nad Zalewem, gdzie wyżyna tarasami schodzi do morza można spotkać na wiosnę urocze widowisko niczem na Ukrainie nad Dniestrem: stoki bieleją, jak śnieg od kwitnących sadów.

Przemierzając wzdłuż i wszerz Warmię i Mazury nieraz, czytelniku, zatrzymasz się w większym lub mniejszym mieście, gdzie dużo jest pamiątek i zabytków historycznych. Najstarsze z nich pochodzą z XIV i XIII wieku. Najwięcej chyba jest starych zamków. Dziś część z nich rozsypuje się już w gruz i pył, a reszta czerwonych murów i wież przywodzi na pamięć czasy dawnej ich świetności i władzy. Krzyżacki zamek z XIII stulecia w Pieniężnie, zabytkowy gotycki kościół i ratusz oraz czternastowieczne kamieniczki z podcieniami na rynku w Ornecie, o jeden wiek starszy od nich ratusz i mury obronne w Kwidzyniu, barokowe domki i dwupiętrowe krużganki gotyckie na podworcu zamkowym w Lidzbarku Warmińskim, kunsztowne łuki z profilowanej cegły morągowskiego ratusza i wiele, wiele innych średniowiecznych budowli przykuwa uwagę przybysza i nakłania do zadumy. Przecież to właśnie w jednej z wież na wzgórzu zamkowym we Fromborku, w wieży zwanej Wieżą Dzwonów mieszkał i urządził sobie obserwatorium, a wreszcie umarł wielki Kopernik, którego dzieło, „De revolutionibus orbium coelestium" wstrząsnęło posadami nauki. Ten sam Kopernik w dniach ciężkiej próby ujawnił mężne serce i talent wojskowy broniąc przed Krzyżakami zamku i miasta. Do dzi-

dalszy ciąg na str. 30



STEFAN CHMIELNICKI

KRYTYCZNIE O KRYTYCE

To dziwi mnie jakoś, to męczy mnie, psiakość,
to stale odbiera mi sen,
że czasem dwóch bliźnich zawini jednako,
lecz odgłos krytyki nie ten.

/ Objadę, na przykład, sklepową — albowiem
za wcześnie zamknęła raz sklep.
Za tydzień przychodzi pośpieszna odpowiedź:
Stwierdzono. Wylana. Na łeb.

Zbyt ostra to kara, więc odtąd się staram
nie ruszać sklepowych, bo cóż?
Gdy ja chcę, by szpilkę odczuła ofiara,
ktoś szpilkę zamienia na nóż.

Lecz kiedy, na przykład, napiszę, że źle się
jej zwierzchnik wywiązał — to z biur
przychodzi odpowiedź (przeważnie za miesiąc),
że to jest pomyłka. Na mur.

Że facet nie winien. Odwrotnie — że słynie
on z takich a takich to cnót —
że mu się niesłusznie podrywa opinię,
że to korespondent nas zwiódł...

Więc kończąc, dodaję: już pora dziś, aby
czasami nie działo się tak,
że krytyka miażdży bezbronnych i słabych,
na wielkich zaś — zębów jej brak.

JANUSZ MINKIEWICZ

MOWO

Mowo nasza gazetowa,
Uprość proszę, swoje słowa
Uczyń, proszę, swoje zdania
Zdatniejszymi do czytania.

Bądź odkrywcza, bądź bojowa,
Nasza mowo gazetowa.

Jasną, wartką płyń polszczyzną,
Jak mężczyzna mów z mężczyzną,
Jak robotnik z robotnikiem —
Zrozumiałym mów językiem.

Celniej płyń od źródła swego
Do człowieka, do żywego.
Żywiej głoś nam prawdę nową,
Gazetowa nasza mowo.

Oszczędź nudy czytelnikom,
Bądź zwiastunką szybką zdarzeń,
Twórczą wspieraj nas krytyką,
Wroga rań — swym komentarzem.

Wyzbyj się utartej sztampy,
Mów do ludzi, nie do lampy.
Pompatycznych zdań mniej! Zgoda?
Gdzie jest pompa,
tam i woda...

Niech z tradycji, które złe są,
Nie zostanie ani śladu:
Śmierć banałom,
Śmierć frazesom,
Śmierć jałowym gadu — gadu!

Niech cię cudzoziemskie słowa
Swą obcością nie kaleczą,
Bądź nam, mowo gazetowa
Bliską:
polską
i człowieczą.

JAN BRZECHWA

ŚMIECH

Przewiały Polskę ożywcze prądy,
Uległy zmianie stare poglądy,
Orzekła bowiem ludowa władza,
Że trzeba śmiać się: śmiech nie przeszkadza,
Że nawet w biurach, czy na budowie
Trzeba już śmiać się, bo śmiech to zdrowie.
I nic socjalizm na tym nie traci.
W lot się zajęli tym biurokraci.
Opracowali więc każdy szczegół
I śmiech ujęli w dwanaście reguł:
Chociaż istotnie prąd powiał świeży,
Nie ze wszystkiego śmiać się należy.
Kiedy w MHD widzi się wadę,
Nie trzeba zaraz śmiać się z MHD.
Gdy film nas „Trudną miłością" raczy,
Trzeba od śmiechu wstrzymać się raczej.
Gdy w sklepie mięsnym grasują myszy,
Lepiej się nie śmiać, bo wróg usłyszy.
Nie wolno śmiać się też z dygnitarza —
Śmiech taki zawsze urząd podważa,
Kiedy dyrektor jest niedogłęga,
Śmiać się nie trzeba: śmiech wyżej sięga.
Gdy kwaterunek klienta zwodzi
Śmiech nie pomoże, tylko zaszkodzi.
Choć chuligaństwo wokół się szerzy,
Z milicji śmiać się też nie należy.
Chociaż zebrania wszystkich zmęczyły,
Śmiać się nie trzeba, bo śmiech to zgniły!
Chociaż są śmieszne niektóre mowy,
Lepiej się nie śmiać — śmiech to niezdrowy.
Choć bardzo złe są książki niektóre,
Po co podważać śmiechem kulturę?
Chociaż są w prasie rzeczy pocieszne,
Lepiej się nie śmiać z tego co śmieszne.
Śmiać się więc można, w myśl tych wytycznych,
Tylko z pozycji biurokratycznych.
My, satyrycy, śmiejmy się z tego —
Dziś nie po śmiechu poznać głupiego.



HISTORIA POBYTU ROZBITKÓW NA BEZLUDNEJ WYSPIE

(Arkady Fiedler — „Wyspa Robinsona“ wyd. „Iskry“)

Wielu z was zna chyba takie tytuły książek jak: „Kanada pachnąca żywicą", czy „Ryby śpiewają w Ukajali" — pełne przygód, egzotyczne historie o dalekich, zamorskich krainach, ich ludziach i przyrodzie. Wielu z was zna również z pewnością autora tych znanych, a szczególnie przez młodzież chętnie czytywanych powieści — Arkadego Fiedlera, człowieka o dwóch, nierozłącznie z sobą związanych pasjach życiowych: podróżniczej i pisarskiej. Cieszące się u nas od dawna, jeszcze od okresu przedwojennego, dużą popularnością książki Fiedlera powstały w wyniku jego rozlicznych podróży. Dorobek tego autora ostatnio powiększył się o jeszcze jedną powieść, a mianowicie o wydaną niedawno przez „Iskry“ — „Wyspę Robinsona“.

Niewątpliwie niejeden z was czytał znaną na całym świecie powieść angielskiego autora Daniela Defoe pt. „Robinson Kruzoe“. Książka ta, to opis przygód okrętowego rozbitka na bezludnej wyspie.

„Wyspę Robinsona“ Arkadego Fiedlera, ze względu na podobieństwo tematyki tych dwóch powieści, można by nazwać polskim „Robinsonem Kruzoe“.

* * *

„O kilkadziesiąt kilometrów od Czumany (miasto u wybrzeży środkowej Ameryki — wyj. autora rec.) wyłania się z morza Karaibskiego rozległa wyspa Margarita, odkryta przez Kolumba, a słynna z połowu pereł i buntu ostatniego szaleńczego konwistatora — okrutnego Aguirre. Między Margaritą a stałym lądem leży inna wyspa, znacznie mniejsza, Isla Cocha, bezludna przez długie wieki, na której pierwsi mieszkańcy osiedlili się dopiero w połowie XVII wieku i to tylko na krótki czas. Z owego okresu datuje się znajdujące się w jednej z bibliotek czumańskich sprawozdanie franciszkanina, który przebywając na wyspie Cocha, opisał, jak mieszkańcy jej odkryli w jaskini wielką łódź, schowaną tam niezawodnie przed kilkudziesięciu laty. Na tej łodzi wyryty był zagadkowy napis: „John Bober, Polonus", a pod nim „rok 1726“.

Tak pisze Fiedler we wstępie do swej ostatniej powieści, która jest właśnie fikcyjnym, czyli na podstawie wyobraźni autora odtworzonym opisem przygód i dziejów owego wspomnianego w dokumencie Johna, czyli Jana Bobra.

Jan był synem polskiego osadnika zamieszkałego w Wirginii. Jako jeden z przywódców buntu przeciwko wirginijskim obszarnikom, zmuszony do ucieczki przed ich zemstą, zaciągnął się na okręt.

W czasie silnego sztormu statek ulega rozbiciu. Ratując się z katastrofy Jan ląduje na bezludnej wyspie, spotyka na niej dwóch Murzynów — również byłych marynarzy rozbitego okrętu. Rozpoczyna się okres wspólnego, pełnego przygód i emocji pobytu na wyspie. A emocji rzeczywiście nie brak. Z ogromnym trudem trzeba zapewnić sobie jakiekolwiek warunki życia. Nasza trójka: biały Jan oraz czarni Arnak i Wagura mieszka w pieczarze, żywi się mięsem z żółwi, mięczaków i papug, owocami z drzew kokosowych i rajskich jabłoni, wreszcie wyhodowaną już na własnym poletku kukurydzą. Zewsząd czyha na nich niebezpieczeństwo. Książka zawiera opis niecodziennej walki z jaguarem, potyczki z wężem potworem itp. Lecz nie tylko dzika przyroda zastawia pułapki na rozbitków. „Wyspa Robinsona“ staje się również widownią zaciętej walki między zbiegłymi z sąsiedniej wyspy Indianami i Murzynami, a ścigającymi ich Hiszpanami, walki, w której po stronie uciemiężonych biorą udział nasi bohaterowie.

Książka Fiedlera to nie tylko, jakby się na pozór mogło wydawać, pełna przygód i dramatycznych sytuacji historia, ma ona również dużą wartość poznawczą i ideową. Autor ukazuje w niej bohaterstwo białych i czarnych, walczy z rozpowszechnionym na zachodzie Europy i w Ameryce przez wyzyskiwaczy poglądem, jakoby czarny człowiek był istotą niższą i upośledzoną. Powieść ta, obrazowo zapoznając czytelnika z egzotyczną przyrodą, stanowi, można by powiedzieć, swoisty podręcznik wiedzy o świecie.

Jak najszybciej przeczytajcie tę ciekawą i pouczającą powieść. Przyjemnego spędzenia czasu z „Wyspą Robinsona“.

H. P.



NOWE WYDAWNICTWA

Modele na uwięzi — Wiesław Schiert str. 270 cena 9.70

Jest to pierwsze tego rodzaju obszerne wydawnictwo, omawiające zagadnienia tak interesujące modelarzy lotniczych — modele na uwięzi. Książka o dużej objętości, opracowana jest starannie i zawiera bogaty materiał, zarówno z zakresu teorii, jak i praktyki. W zasadzie książka jest przeznaczona dla czytelników, orientujących się w poruszanych zagadnieniach, jednak spełni ona rolę popularyzatora modeli na uwięzi również i wśród młodych modelarzy.

Na wstępie omówione są zasady projektowania modeli na uwięzi z uwzględnieniem proporcji, silnika, stateczności itp. Następnie książka zapoznaje z samą konstrukcją modeli, z budową kadłuba, skrzydeł, instalacją paliwową i podwoziem. Podany jest też przegląd najlepszych konstrukcji. Szczegółowo opisane są także rodzaje silników i śmigieł.

Osobno omówione zostało użytkowanie modeli na uwięzi, a więc obsługa silnika, zasady pilotażu, akrobacje i organizacja lotów. Na zakończenie podane zostały teoretyczne podstawy projektowania modeli. Znajdujemy tu wyjaśnienie podstawowych pojęć, formuł, wzorów i obliczeń. Ta wartościowa książka z pewnością przyczyni się do popularyzacji modeli na uwięzi.

Pierwsze plany modeli latających

Plan nr. 1 — W. Kowalczyk — Model szkolny z napędem gumowym „Pionier".
Plan nr. 2 — inż. W. Schier — Model redukcyjno-latający samolotu „RWD 5 bis".
Plan nr. 3 — inż. W. Schier — Model redukcyjno-latający samolotu „PZL PLLC".
Plan nr 4 — inż. W. Schier — Model redukcyjno-latający „Jak 12R".

Ukazały się plany modeli latających, publikowane także ostatnio w piśmie „Modelarz". Są to pierwsze wydawnictwa tego typu. W ładnej kartonowej okładce znajdują się duże, robocze plany modeli, bardzo dokładnie opracowane. Na okładce umieszczone zostały szczegółowe opisy budowy i dane techniczne modeli oraz krótkie notatki o historii danego samolotu. Jest to bardzo pożyteczna forma wydawnictw, stanowiąca konkretną pomoc dla modelarni i modelarzy.

Od kamery do ekranu — Zarys telewizji
W. Rąbecki, str. 154, cena zł. 5,40

Telewizją interesuje się każdy. Wiemy, że w najbliższych latach rozwinie się w kraju sieć stacji telewizyjnych i wytwarzane będą polskie aparaty telewizyjne. Już dziś wielu radioamatorów w LPŻ przystępuje samodzielnie do budowy takich amatorskich aparatów i osiąga dobre wyniki. Książka W. Rąbackiego pomoże wszystkim amatorom i miłośnikom telewizji, zapoznaje ona bowiem w sposób prosty i interesujący z podstawami telewizji oraz jej urządzeniami. Znajdziemy w niej omówienie powstawania obrazu, stacji nadawczych, przesyłania obrazów na odległość oraz urządzeń odbiorczych. Liczne, przejrzyste rysunki ułatwiają zapoznanie się z materiałem technicznym książki.

Idziemy na start — P. Elsztein, str. 175, cena 6,25 zł.

Jest to pierwsze tego rodzaju wydawnictwo w naszym kraju. W książce tej znajdują się praktyczne wskazówki, które mają służyć w organizowaniu zawodów modeli latających. Toteż książka ta w pierwszym rzędzie będzie pomocą dla pracowników i instruktorów modelarstwa w LPŻ, a także przyniesie wiele pożytecznego materiału dla każdego modelarza, który startuje, lub dopiero będzie startował w zawodach.

W książce podany jest kodeks sportowy, regulaminy zawodów itp. Najwięcej miejsca poświęcił autor sprawie przygotowania i organizacji zawodów oraz próbom bicia rekordów, a także urządzaniu wystaw i pokazów. Omówione też zostały czynności komisji sędziowskiej, wybór miejsca i termin zawodów, przygotowanie modeli, zgłaszanie zawodników itp. Wykorzystanie tej książki przyczyni się do lepszego przygotowania zawodów i popularyzacji modelarstwa lotniczego.



„SPRAWA PILOTA MARESZA"

„Sprawa pilota Maresza". Film produkcji polskiej. Scenariusz (na podstawie powieści Janusza Meissnera pt. „Niebieskie drogi"). Leonard Buczkowski. Reżyseria: Leonard Buczkowski. Zdjęcia: Seweryn Kruszyński i Feliks Średnicki. Muzyka: Jerzy Harald. Wykonawcy: Kapitan Maresz — Wieńczysław Gliński, Krystyna — Alicja Raciszówna, Mary — Lidia Wysocka, Flisak — Jerzy Michotek, Cygan — Bohdan Niewinowski, Szef Pilotów — Bohdan Ejmont, Surowiec — Leon Niemczyk.

Na nowy film produkcji polskiej pt. „Sprawa pilota Maresza" szedłem z dość dziwnym uczuciem, które nazwałbym mieszaniną radości i niepokoju.

Źródła tego uczucia tkwiły w tym, że od dwudziestu chyba lat jestem gorącym entuzjastą i miłośnikiem powieści Meissnera, że gorączkowo i z wypiekami „pożerałem" każdy jego nowy utwór, że na półkach mojej domowej biblioteczki nie braknie i „Hangaru nr 7", i „Szkoły Orląt", i „Żądła Genowefy" i „Niebieskich dróg". Czytając powieści i opowiadania Meissnera, przeżywając wraz z ich bohaterami rozliczne przygody — wyobrażałem sobie ich wygląd, ubiór, zachowanie się, ba — ton głosu nawet, krótko mówiąc — widziałem ich przed sobą, jak żywych.

A teraz, idąc na „Sprawę pilota Maresza", miałem ich po raz pierwszy zobaczyć naprawdę, powołanych do życia przez aktorów i aktorki, ożywionych na białym prostokącie ekranu. I stąd moja radość...

A niepokój? Niepokój wypłynął stąd, że parokrotnie już przekonałem się, co „potrafią" zrobić z dobrego nawet tematu nasi filmowcy, no i ponadto zdążyłem już przeczytać w prasie kilka bardzo, ale to bardzo niepochlebnych recencji na temat „Sprawy pilota Maresza".

Gdybym miał krótko, jednym słowem odpowiedzieć na pytanie, pod jakim wrażeniem wyszedłem z kina po seansie odpowiedziałbym po prostu: byłem bardzo, bardzo zadowolony...

Tak właśnie wyobrażałem sobie meissnerowskich bohaterów, jak ich pokazał film: wahającego się między miłością i obowiązkiem Maresza, bezczelnego a jednocześnie tchórzliwego „niebieskiego ptaka". Surowca, oddanego swemu zawodowi, przepojonego entuzjazmem Flisaka, pełnego swoistego warszawskiego humoru Cygana i wielu innych.

Nie powiem oczywiście, żeby wszystko w „Sprawie pilota Maresza" podobało mi się bez zastrzeżeń.

Niektórym scenom (na przykład walka pilotów z dywersantami, lot samolotem we mgle itp.) przydałoby się niewątpliwie więcej napięcia, emocji, rozmachu.

Nie zaszkodziłoby nieco mniej „lakieru" i upiększania rzeczywistości (znowu te wytworne mieszkania i luksusowe lokale, znowu ten bohater dysponujący samochodem, motocyklem i wspaniałym „niezagęszczonym" mieszkaniem, znowu to bezgraniczne zaufanie do człowieka i zrozumienie wszystkich jego wahań i wątpliwości).

Ale te i być może inne jeszcze błędy i pomyłki nie są najważniejsze, nie decydują o poziomie i wartości filmu.

Ważne jest to, że akcja filmu toczy się szybko. Że prawdziwie i przekonywająco pokazano wzrastające przywiązanie Maresza do pracy, do kolegów, do odbudowującego się kraju oraz narodziny jego uczucia do Krystyny. Że trafnie odtworzono charaktery i sylwetki świetnych meissnerowskich typów. Że kolory są doskonałe i dopasowane do akcji filmu oraz że dźwięk (o dziwo) jest czysty i zrozumiały...

Na pewno spodoba się wam, ten nowy polski film o „bohaterach przestworzy", na pewno przypatrywać mu się będziecie z takim samym zadowoleniem i przyjemnością, jak ja i wielu, wielu innych...

A więc do zobaczenia w kinie.

(T. C.)

dalszy ciąg ze str. 26
siaj zachowały się z owych czasów piękne zabytki, a najpiękniejsze z nich izby zamkowe tzw. Sale Rycerskie utrzymały prześliczne kryształowe sklepienia.

W pobliżu olsztyńskiego zamku na drugim brzegu Łyny stoi maleńka kapliczka zwana Jerozolimską. Ma ona swą dramatyczną historię. Otoczenie kapliczki Jerozolimskiej, będące dzisiaj porosłym zielenią cmentarzyskiem, spełniało ongiś rolę kolonii trędowanych. Europa owych czasów miała wiele takich kolonii, gdzie kończyli swój żywot dotknięci tą straszną chorobą. W całkowitej izolacji od ludzi, umarli za życia, chorzy w kolonii Jerozolimskiej sami się rządzili: mieli własny samorząd, swoje władze, złożone spośród trędowatych. W wzniesionej kapliczce odprawiał nabożeństwa trędowaty kapłan. Kapliczka przetrwała do dzisiaj.

Ludność Warmii i Mazur chlubnie zapisała się na kartach historii, związanej z najdawniejszą walką o polskość tych ziem. Do rzędu bohaterów zaliczyć trzeba takich działaczy jak Krzysztof Mrągowicz, autor licznych podręczników języka polskiego dla Mazurów, Gustaw Gizewiusz, redaktor i poseł polski do parlamentu niemieckiego, Walenty Barczewski, działacz kulturalny i autor pracy o Warmii, Wojciech Kętrzyński, autor wielu prac historycznych z przeszłości polskiej na Mazurach. Od nich to wzięły nazwy miejscowości: Mrągowo, Giżycko, Barczewo, Kętrzyn i inne. Bardzo wielu z nich położyło też swe życie w ofierze za ojczyznę. Do nich zalicza się Seweryn Pieniężny, najpopularniejszy człowiek Warmii, działacz i redaktor „Gazety Olsztyńskiej", aresztowany przez hitlerowców i osadzony w obozie Hohenbruch, rozstrzelany 24.II.1940 r. Terror i prześladowania narodowościowe szczególnie wzmogły się, gdy Hitler przejął władzę w Niemczech. Język polski wyrugowano nawet z kościołów od dziesiątków lat był on tam używany, jak to miało miejsce np. we Fromborku, daleko na północ wysuniętej miejscowości tuż nad Zalewem. Nie miał więc racji wielki pisarz i społecznik Stefan Żeromski, kiedy w „Wietrze od morza" twierdził że zły duch ziemi warmińsko-mazurskiej, Smętek, będący właściwie duchem wojującego junkierstwa i Hakaty opuścił po Traktacie Wersalskim Warmię i Mazury. Miał ją natomiast Melchior Wańkowicz, który w swej głośnej tuż przed wojną wydanej książce mówił, że „świeżutkie tropy Smętka nachodziłem co krok, że przemykał się przede mną wszędzie w tym wschodnio-pruskim mateczniku spraw i dusz ludzkich".

Ostatnia wojna przyniosła definitywne rozstrzygnięcie o przynależności Warmii i Mazur. Na każdym kroku potwierdza to miejscowa ludność: swoją pracą i postawą polityczną. Mocny wyraz temu daje miejscowa inteligencja twórcza, pisarze i publicyści w artykułach i utworach literackich. Znani dziś publicyści i literaci jak Malewska, Lengowski, Ruczyński, Śliwa pochodzą z Warmii i Mazur. 80-letni Michał Lengowski pisze:

„Nad moją kolebką matka się schylała
i piosenki polskie do snu mi śpiewała".

A poeta ludu mazurskiego Teofil Ruczyński, śpiewa:

„Mówią, że gdzieś w świecie
piękno bardziej lśni,
ale gdzie znajdziecie
urok polskiej wsi?
Gdzie jest tyle kwiecia
i zapachu róż,
gdzie żywej zieleni
starych wierzb i brzóz?

Mówią, że gdzieś w świecie
jest bogactwo roli,
ale gdzie znajdziecie
piękno polskich pól?
Gdzie wam tak zaszumi
łan złocistych zbóż?
Tego nie znajdziecie
wśród lądów i mórz".

Wędrując, czytelniku, po ziemi Warmii i Mazur spotkasz pełne uroku i romantyzmu zakątki, jakich nigdzie więcej nie znajdziesz w Polsce, rzadkie okazy przyrody, rezerwaty roślinne i zwierzęce, stare pomniki kultury, gdzie śmiała myśl ludzka uskrzydliła dzieło rąk, dając twardemu kamieniowi lotność strzały i delikatność koronek. Spotkasz ludzi, może powierzchownie chropowatych, lecz w obcowaniu z nimi szybko doszukasz się szlachetności serca, tak jak pod szlifierką błyska najczystszą wodą drogocenny kamień.

(Kaz.)

Urządzamy podręczną strzelnicę wiatrówkową

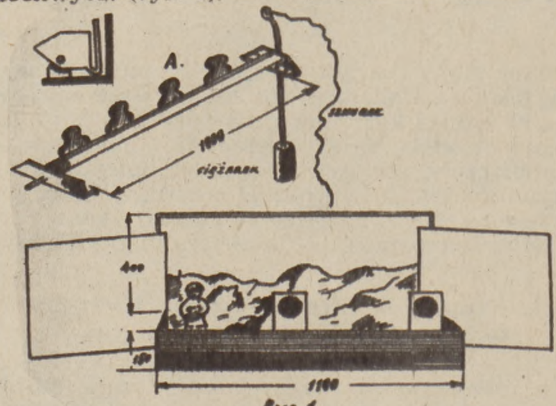
Dla nikogo już nie jest tajemnicą, że sport strzelecki pod opieką Ligi Przyjaciół Żołnierza i LZS ma w kołach LPŻ i w ogóle na wsi wielkie możliwości rozwoju. Młodzież wiejska lubi strzelectwo. Świadczy o tym choćby liczba 50.000 klas sportowych, zdobytych właśnie w tej dyscyplinie w roku ubiegłym. Nie zawsze jednak możemy wychodzić na spotkanie tym zainteresowaniom, choćby z tej prostej przyczyny, że nie wszędzie na wsi mamy strzelnice sportowe.

W pewnym stopniu można te trudności rozwiązywać przez coraz szersze wprowadzanie do programu naszych zajęć szkoleniowych strzelań z wiatrówki, oraz przez zachęcanie młodzieży do konstruowania nieskomplikowanych, a bardzo praktycznych, bo przenośnych strzelnic sportowych. Taką strzelnicę można np. wykonać w czasie szkolnych zajęć praktycznych, lub w wiejskim kółku zainteresowań strzeleckich. Z taką strzelnicą, jak z walizką w ręce, można podróżować z gromady do gromady, organizować w nich zawody, urozmaicać program festynów, docierać do młodzieży niezorganizowanej i również wśród niej budzić zainteresowanie strzelectwem.

Przenośną strzelnicę wykonujemy z desek tak, jak zwykłą podłużną, mocną i estetyczną skrzynkę.

Służyć nam ona będzie zarówno jako strzelnica, jak i w charakterze futerału na wiatrówkę.

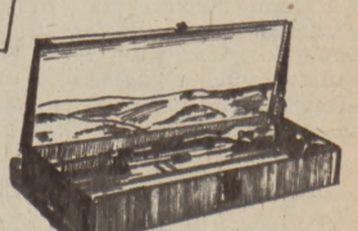
Długość skrzyni — 110 cm, szerokość — 40 cm., wysokość — 15 cm. Przednia ścianka skrzyni winna być o kilka cm. wyższa od ścianki tylnej i ścianek bocznych. Taka budowa zabezpiecza przed uszkodzeniem urządzenia tarczowego w czasie strzelania. Wieko skrzynki w czasie strzelania spełnia rolę kulochwytu. (rys. 1).



Rys 1



Rys 2.



Rys 3.

Dno skrzyni składa się z dwu części. Przed uruchomieniem strzelnicy wyjmujemy je i ustawiamy po bokach jako skrzydła kulochwytu, co oczywiście zwiększa jego powierzchnię.

W podstawę urządzenia należy wmontować trzy gniazda, umożliwiające ustawienie tarcz, względnie figurek. Prócz nich należy wmontować trzy sprężynowe urządzenia, służące do umocowania nieruchomych figur i jeszcze dwa dodatkowe, spełniające rolę uchwytów dla wiatrówki, kiedy całość urządzenia przewozimy z miejsca na miejsce. We wspomnianych gniazdach osadzamy sworzeń, obracający się wokół swej osi. Do niego należy przymocować odpowiedni ciężarek o dokładnie obliczonej wadze tak, by w zwykłym położeniu figur ciężarek znajdował się na dole, a figurki były ustawione pionowo. (rys. 1a). Takie urządzenie pozwala na strzelanie do tarcz, względnie figur, pojawiających się

tylko na określony z góry czas. Ten na ogół prosty mechanizm wymaga jednak dużej dokładności wykonania, tak, by umożliwiał on obrócenie się celów podczas trafienia pociskiem i bezpośrednio po tym samoczynny powrót do poprzedniego położenia.

W przedniej części skrzynki montujemy uchwyty dla nieruchomego ustawienia tarcz. (rys. 1). Można też skonstruować mechanizm, powodujący przesuwanie się jednego z celów. Sprawa jest dość prosta. W lewej, przedniej części skrzynki umieszczamy drewniany blok. Do bloku przymocowana jest linka gumowa, której drugi koniec łączymy z podstawą ruchomego celu. Do drugiego końca podstawy przywiązujemy sznurek. Przez otwór w prawym rogu skrzynki wypuszczamy go na zewnątrz. Pociągając za sznurek powodujemy naciąganie się linki gumowej i ruch figurki w prawo. Przy zwalnianiu sznurka linka gumowa wraca do swego normalnego położenia, ciągnąc za sobą cel ruchomy.

Takie różnorodne urządzenia pozwalają na zorganizowanie bardzo ciekawych zajęć strzeleckich i zawodów. Godną podkreślenia zaletą tego typu strzelnicy jest to, że przy jej użyciu nie ma potrzeby powoływania tarczowych, bo rezultaty strzelań są i tak dla widzów i sędziów doskonale widoczne. Po zakończeniu zawodów chowamy wiatrówkę do skrzyni, zamykamy boczne skrzydła i opuszczamy wieko. (rys. 3.)

Treningi i zawody z wiatrówki można również organizować w zamkniętym pomieszczeniu, np. w dużym, dobrze oświetlonym pokoju, a nawet w stodole, byleby tylko jej długość wynosiła co najmniej 6 m.

Budowa takiej strzelnicy i urządzenie pomieszczenia może się stać wdzięcznym tematem pracy każdej drużyny i koła LPŻ, każdej wiejskiej grupy młodzieżowej.

Wiele oczywiście zależy od inicjatywy i zrozumienia znaczenia tej sprawy przez instruktora...

OD REDAKCJI

Wirówka
Rozwiązanie: konwalia, kwadrans, tancerka, tabelka, akrobata, gradacja.

Ciągówka
Rozwiązanie: Zakładajcie nowe koła L.P.Ż.

Logogryf botaniczny
Rozwiązanie: Tulipan

Literówka
Rozwiązanie: kora, ogar, rama, arak.

Figielek rebusowy
Rozwiązanie: Czytaj książki.

Konikówka
Rozwiązanie: W LPŻ uprawiamy sporty obronne.

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych z nr. 4/27/56 nagrody książkowe otrzymują:

Mieczysław Głogowski, Państwowe Liceum Pedagogiczne, Kielce, ul. Leśna 16.

Aleksander Sieniewicz, Suwałki, ul. Kolejowa 42.

Jerzy Hauslinger, Gdynia, ul. Sienkiewicza 42 m. 5.

Krystyna Fundowicz, Wrocław 9, ul. K. Libelta 21.

Za prawidłowe rozwiązanie rozrywek umysłowych z nr. 5/28/56 nagrody książkowe otrzymują:
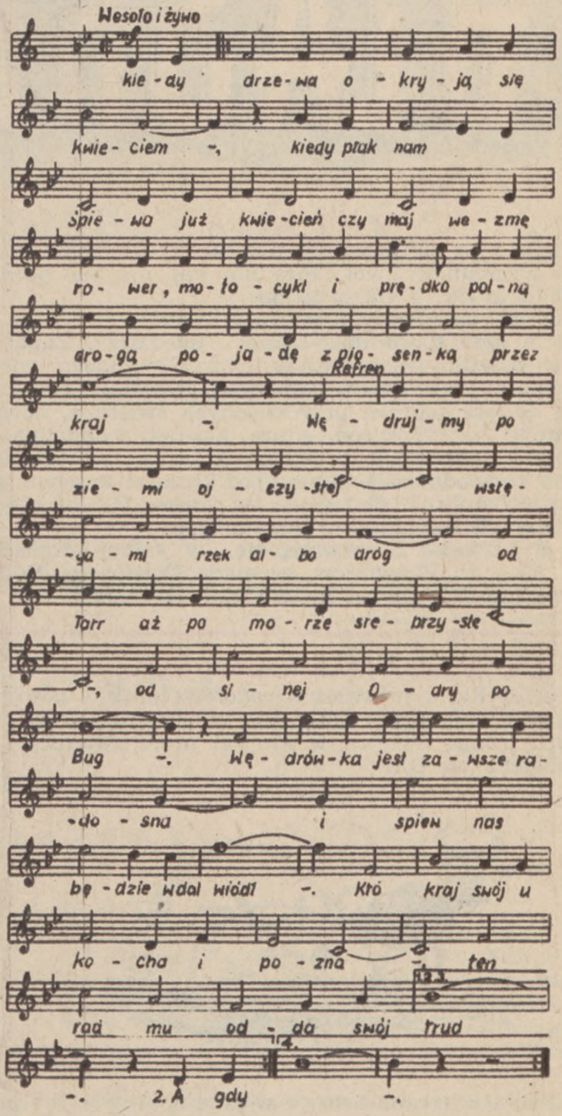
Janusz Hatłos, Kramsk, ul. Kolejowa 16, pow. Konin, woj. Poznań.

Ryszard Jankowski, Konin, ul. Reformacka 2.

Nasza okładka: W Bielsku powstał nowy, mający dużą przyszłość artystyczną zespół pieśni i tańca. Zespół ten liczący 120 osób przyjął nazwę Bielskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Beskid". Większość członków zespołu, to młodzi pracownicy fizyczni z różnych zakładów przemysłu welnianego. Na zdjęciu Elżbieta Kuska i Marian Kaszowski w charakterystycznym, pełnym wdzięku i piękna tańcu beskidzkim.

Temu pełnemu ambitnych planów, ukazującemu piękno folkloru Beskidu zespołowi życzymy dużo pomyślności i sukcesów.

Piosenka turysty



A gdy lato się słońcem rozpali,
biała łódź pozostawi na fali
swój ślad,
będzie w górze dziwiła się mewa,
a tę piosnkę wśród żagli wyśpiewa
mi wiatr:

Wędrujmy po ziemi ojczystej...



BLASKI i CIENIE

TO NIE BAJKA

Pies, wcale o to nie proszony, położył się na kopie siana. Przyszedł wygłodniały wół. Pies nie dał mu się położyć, wół zdechł z głodu, a siano zgniło.

Tę bajkę przypomniała mi taka oto historia:

We wsi A jest sporo muzykalnej młodzieży. Zapał do stworzenia świetlicowego zespołu instrumentalnego wielki, a instrumentów mało (trochę własnych, starych).

We wsi B jest komplet przydzielonych świetlicy, nowych instrumentów. Jest akordeon, gitara, klarnet, mandolina itp. Jest ponadto.. .kierownik świetlicy, który sprzęt ten oraz świetlicowy radioodbiornik trzyma pod kluczem w swym prywatnym mieszkaniu. A dlatego, że w wiosce B nikt nie ma zamiaru tworzyć zespołu instrumentalnego.

Wioska A i wioska B znajdują się... w jednej gromadzie. Wioska A — to Wiewiórów, gromada Dąbrówka. Wioska B — to właśnie Dąbrówka. Powiat radomszczański.

DOM SIĘ WALI, IDŹMY DALEJ...

W gromadzie Rzeki (również w radomszczańskim powiecie) dopóty istniała świetlica i biblioteka, dopóki nie zaczął walić się dach byłego dworku, w którym prócz świetlicy i biblioteki mieściła się GS.



Wielki budynek (można było go w porę naprawić, lub przebudować) dziś ulega całkowitej ruinie. Nic już się w nim nie mieści. Po świetlicy zostały wspomnienia.

A cóż na to gospodarz gromady — GRN?

Otóż GRN wyszła salomonowo z tej sytuacji. Dosłownie wyszła, to znaczy przeniosła siedzibę swego Prezydium do sąsiedniej wsi... z braku lokalu na miejscu.

Kubuś

ŚWIETLICA CZY MAKULATURA?

Młodzież z hufca LPŻ i koła LZS w Imielinie (woj. stalinogrodzkie) postanowiła urządzić świetlicę. Wydzierżawiła więc bezużyteczny lokal i w „Czynie Pierwszomajowym" postanowiła go wyremontować.



Niestety, skończyło się na dobrych chęciach, ponieważ lokal zajęła Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Krasowych i urządziła w nim... zbiornicę makulatury.

Wszelkie prośby i błagania LZS-owców i LPŻ-owców odbijają się, jak przysłowiowy groch od ściany, o upór i zaciętość członków GS-su z ob. Wernerem na czele.

A może by tak dopomógł WZGS ze Stalinogrodu? Dla informacji podajemy, że młodzież z Imielina znalazła nawet dla GS-u lokal zastępczy, nadający się doskonale na skład makulatury...

„AMERYKANKA" I ŻYCIE KULTURALNE

Wiele cennej inicjatywy w rozwijaniu życia kulturalno-oświatowego wykazuje Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska" w Komorówce, pow. Gadzyń, woj. lubelskie. Zakupiła ona mianowicie z nadwyżek pieniężnych, przeznaczonych na cele kulturalno-oświatowe, tak zwaną „amerykankę".



Było to widocznie podyktowane tym, aby przewodniczący GS-u, ob. Bień, mógł śnić o bujnym rozwoju pracy kulturalno oświatowej w Komorówce, której jakoś na jawie nie widać...

WIĘCEJ TROSKI O LOKAL

Widziałem ostatnio dwa lokale Zarządu Powiatowego LPŻ: w Giżycku i w Morągu. Trudno powiedzieć, aby się one czymś specjalnym między sobą różniły... Tak w jednym, jak i w drugim panoszy się brud, niechlujstwo i... niesamowita



nuda. Aż uderzający jest brak dekoracji, fotomontaży, i czegokolwiek, co obrazowałoby życie LPŻ w tych powiatach.

Czyżby LPŻ w Morągu i Giżycku nie miała się czym pochwalić?

TRZEBA SIĘ OBUDZIĆ...

Wieś Niałek Wielki (pow. Wolsztyn) znana była w całym kraju ze swych osiągnięć sportowych i świetlicowych. Piłkarze i lekkoatleci z Niałka należeli do czołówki Zrzeszenia LZS, regularnie i solidnie pracował hufiec „SP", w świetlicy każdego wieczora zbierali się starzy i młodzi miłośnicy radia, książki, gazety, muzyki, zabawy...

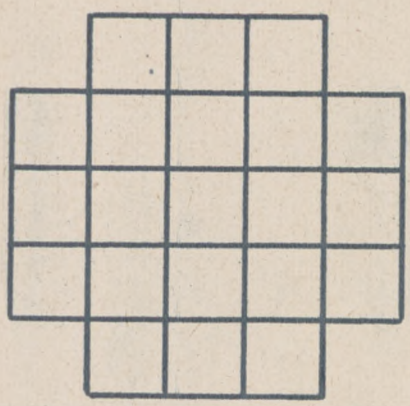


A dzisiaj? Dzisiaj w Niałku Wielkim panuje zastój i martwota. Jedynym przejawem „życia" są doroczne zebrania w ZSL, LZS, LPŻ, ZSCh, OSP itp.

Ale czy to wystarczy młodzieży?

FIGURA MAGICZNA

Do podanej figury wpisz poniższe wyrazy tak, by je można było czytać poziomo, jak też i pionowo:



Znaczenie wyrazów: Rodzaj drogi, 1/52 część talii, pierwiastek chemiczny.

KONIKÓWKA

Ruchem konika szachowego obejdź wszystkie pola podanej figury i odczytaj rozwiązanie.

C	I	P	E	D
T	W	I	L	O
K	Ś	J	W	E
O	A	N	L	U
A	S	D	L	A



ARYTMOGRAF

Odgadnij znaczenie wyrazów klucza pomocniczego i po podstawieniu cyfr odpowiednimi literami odczytaj rozwiązanie:

5, 14, 18, 16, 8, 19, 2, 19 1, 11, 17, 8, 7, 15, 10, 13, 9, 10, 5, 2, 13, 3, 7 16 12, 16, 14, 19, 7, 19 20, 5, 14, 6, 2, 4, 18, 8, 7.

KLUCZ POMOCNICZY:

Policja wojskowa — 1, 2, 3, 4, 2, 5, 6, 7, 5, 8, 2.

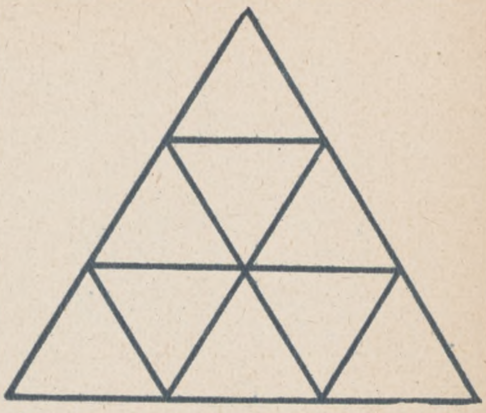
Podróżnik — 9, 10, 5, 11, 12, 9, 2.

Wagon ciągnący pociąg — 13, 14, 15, 14, 6, 14, 9, 11, 16, 2.

Imbryk inaczej — 17, 18, 2, 19, 3, 8, 15.

Czasopismo — 20, 2, 18, 7, 9, 2.

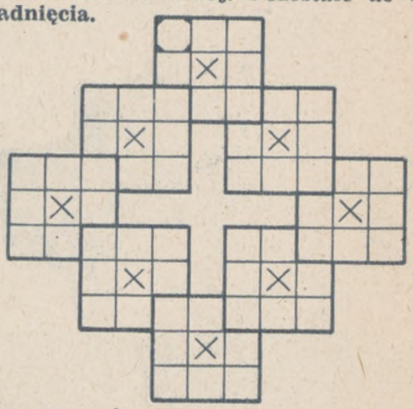
TRÓJKĄT MAGICZNY



Do poszczególnych trójkącików wpisz cyfry od 1 do 8 tak, aby ich suma przy poszczególnych bokach trójkąta dużego była jednakowa i wynosiła 25.

WIRÓWKA

Do podanej figury wpisz wirowo siedem wyrazów. Początek pierwszego wyrazu w kratce oznaczonej. Pozostałe do odgadnięcia.



Znaczenie wyrazów: Jarzyna, imię męskie, wybryk, ranne pantofle, gad drapieżny, podstawowa jarzyna w Polsce, przysłowiowa kraina złota, kraj na półwyspie indonezyjskim.

HUMOR ZAGRANICZNY



... bez słów

„Deutsche Illustrierte”



— A oto biurko, przy którym będzie pan pracował...

Wydawnictwo Zarządu Głównego LPŻ. Redaguje Zespół. Warszawa, ul. Długa 52. tel. 626-42, 612-83. Wojsk Zakł. Graf. W-wa. Zam. 7067 B-7-26618

HUMOR



— Powiedz przepraszam...



— Wrzucę tą rybę z powrotem, i tak mi nikt nie uwierzy...



— To drzewo umarło z miłości...



— Co dają w tym ogonku?...